

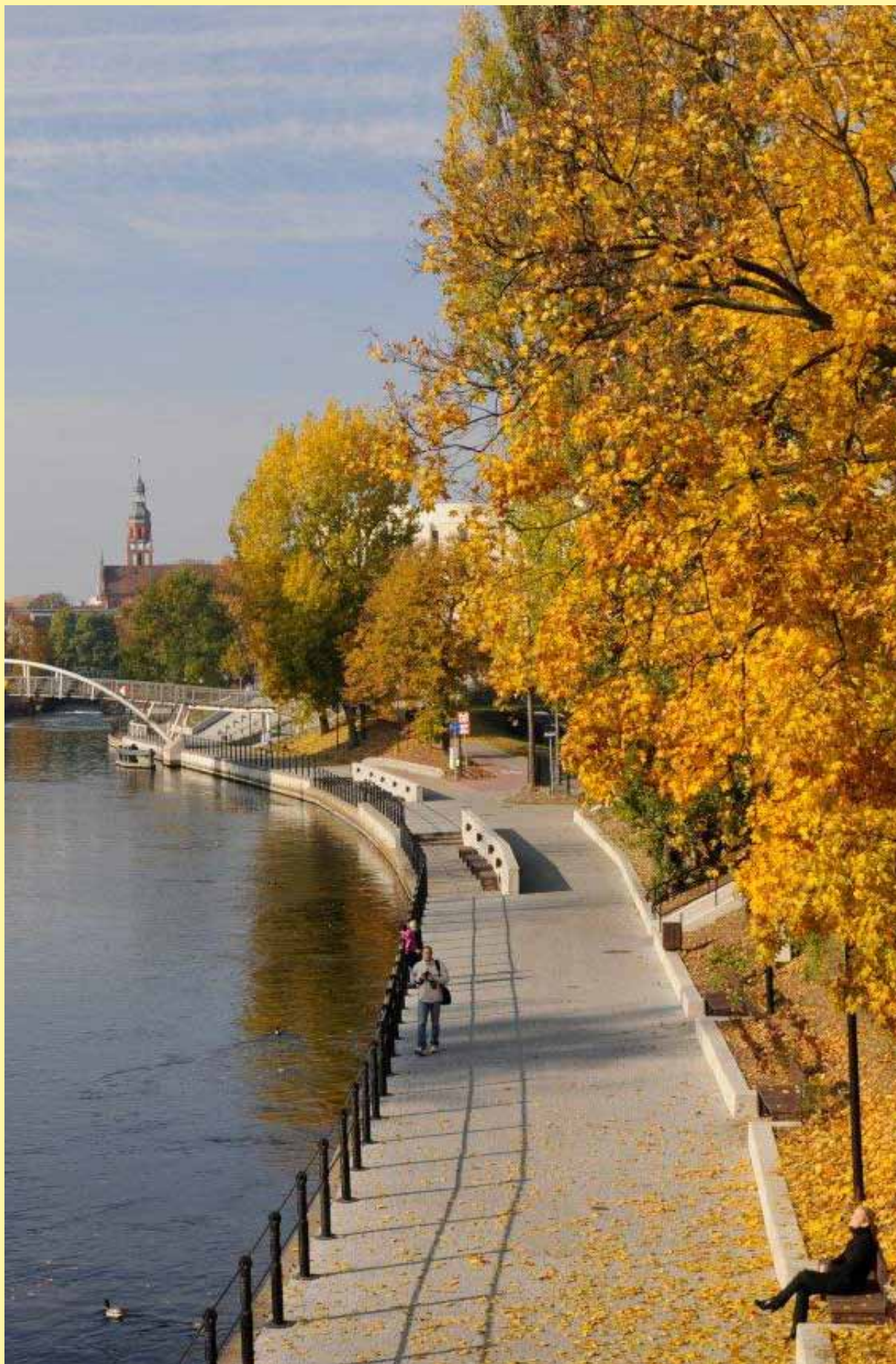
# POD WIATR.pl

NR 5 (164) ROK XIX PAŹDZIERNIK / LISTOPAD 2012

ISSN 2084 - 8226

**SAMI O SOBIE** CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

**5**



Bydgoszcz: jesień nad Brdą

fot. Robert Sawicki

*W numerze*

**Jestem  
Polak mały**

korespondencja  
z Wenezueli

**Historyczne  
mozaiki**

**My z Alaski**

**Kocham  
podnoszenie  
ciężarów**

Rozmowa  
z Adrianem Zelińskim  
złotym medalistą  
igrzysk olimpijskich  
w Londynie

**Ekologia  
bez granic**

**Witryna  
Literacka**



# Nasze 19. urodziny



fol. archiwum

## Z Pod Wiatr.pl przez świat

Od lutego 2012 roku, po osiemnastu latach wersji papierowej, POD WIATR kontynuuje swoją historię w formie elektronicznej. PDF-y z czasopismem przekazywane są młodzieży i dorosłym czytelnikom pochodzenia polskiego za pośrednictwem m.in. instytucji, stowarzyszeń i organizacji polonijnych, polskich szkół za granicą, placówek dyplomatycznych, konsulów honorowych, animatorów kultury polskiej na świecie i osób prywatnych do:

■ Albanii, Angoli, Arabii Saudyjskiej, Argentyny, Armenii, Australii, Austrii, Azerbejdżanu, Białorusi, Boliwii, Bośni i Hercegowiny, Beninu, Brazylii, Bułgarii, Chile, Chin, Chorwacji, na Cypr, Czarnogóry, Czech, Danii, Dominikany, Egiptu, Estonii, Finlandii, Francji, Gruzji, Holandii, Indonezji Irlandii, Islandii, Japonii, Jamajki, Kamerunu, Kanady, Kazachstanu, Kenii, Kolumbii, Korei Południowej, na Kubę, Kuwejt, na Litwę, Luksemburga, na Lotwę, Macedonii, na Madagaskar, na Malte, Maroka, na Mauritius, Meksyku, Mołdawii, Mozambiku, Niemiec, Norwegii, Nigerii, Nowej Zelandii, Panamy, Paragwaju, Peru, Portugalii, Rosji, RPA, Rumunii, Serbii, Singapuru, Sudanu, Słowenii, Szkocji, Szwajcarii, Szwecji, Tunezji, Turcji, Ukrainy, USA, Wenezueli, Węgier, Wielkiej Brytanii, Wietnamu, Włoch, Zimbabwe.

**P**owstanie POD WIATR wymusiły okoliczności. Gdy w 1992 roku zgłosiłem wojewódzkim władzom oświatowym autorski projekt Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich, wpisałem w marzenia młodych ludzi, którzy mnie do tego zainspirowali, także swoje ciche marzenie. Chodziło mi o to, aby dziennikarskiej edukacji młodzieży towarzyszyło czasopismo promujące jej talent. Kiedy moje rozmaite pomysły zainteresowania wydawców tą inicjatywą spęły na niczym – zdesperowany postanowiłem... sam stać się wydawcą. Był to zaiste pomysł szalony, zważywszy na zupełny brak kapitału. Pomogły mi wtedy różne bydgoskie instytucje i przedsiębiorstwa, dając reklamy, władze miasta, zacni ludzie zauroczeni twórczością młodzieży. Pomógł przysłowiowy łut szczęścia.

W październiku 1993 roku ukazał się w Bydgoszczy pierwszy numer POD WIATR. Wzbudził lokalne zainteresowanie odmiennością od pism adresowanych w owych czasach do młodzieży. Inność polegała na tym, że o sprawach obchodzących nastolatków wypowiadali się na łamach pisma ich rówieśnicy: komentarem, reportażem, felietonem, wierszem, rysunkiem, fotografią... „Sami o sobie” – taka była filozofia pionierów, zapaleńców, niepokornych entuzjastów, kilkudziesięciu uczniów szkół bydgoskich, którzy w październiku 1993 roku zapragnęli czegoś więcej niż pisanie „do szuflady”. Wziąłem sobie ich marzenia do serca, odpowiedziałem im kształt, barwę i spróbowałem wspólnie iść dalej. Najpierw blisko, a potem...

W grudniu 1994 roku przedstawiciele bydgoskiego Kuratorium udający się z wizytą na Litwę, do Solecznik, zabrali kilkadziesiąt egzemplarzy POD WIATR dla młodzieży pochodzenia polskiego. Czasopismo wzbudziło aplauz, a ja pomyślałem sobie – skoro POD WIATR zostało dobrze przyjęte na Litwie, to dlaczego nie przekazywać go młodym Polakom na Białorusi, na Ukrainie, w Rosji, Estonii, na

Łotwie... a może jeszcze dalej – w Afryce, Ameryce, Australii?

Pomocy w dotarciu do rodaków mieszkających blisko udzieliła mi najpierw warszawska Fundacja „Oświata Polska za Granicą”, z którą osiemnastoletnią współpracę wysoko sobie cenię. Później, po skrupulatnych, samodzielnych poszukiwaniach, dysponowałem bazą adresową pozwalającą puścić czasopismo na głęboką wodę. I tak oto z portu nad Brdą nasz okręt z młodzieżową załogą dziennikarzy i poetów wyruszył w świat, stając się zjawiskiem prasowym bez precedensu – pierwszym w Polsce czasopismem społeczno-kulturalnym o zasięgu międzykontynentalnym stworzonym przez młodzież dla młodzieży tej samej narodowości. O ile wiem – nie ma papierowego pisma młodzieżowego o takiej formule, zasięgu i tak długiej historii w innych krajach. W grudniu 2011 roku POD WIATR czytali młodzi i dorośli Polacy w ponad 500 ośrodkach polonijnych w 106 krajach. Wielu z nich stało się jednocześnie jego autorami.

Od 1993 roku w podwiatrowej przygodzie wzięło udział kilka tysięcy młodych i bardzo młodych reporterów, komentatorów, poetów, fotografików i grafików. Łamy POD WIATR oddaliśmy również dorosłym, którzy pragną do nas napisać. „Polski świat” tworzymy razem i razem za niego odpowiadamy. Przeszłość i teraźniejszość to droga, którą warto przebyć wspólnie. Dla przyszłości.

W tej konwencji POD WIATR stał się nie tylko promotorem kultury i sztuki młodego pokolenia Bydgoszczy, Kujaw, Pomorza i Wielkopolski oraz młodzieży pochodzenia polskiego zamieszkałej za granicą. Stał się również miejscem wyrażania i krzewienia więzi narodowej. Tak pismo widzą Rodacy w polskich przystaniach na kuli ziemskiej.

Od lutego 2012 roku czasopismo ukazuje się wyłącznie w wersji elektronicznej.

W nasze dziesięć urodziny wszystkim Czytelnikom, Przyjaciółom i Sojusznikom TU i TAM dziękujemy za życzliwy kącik w sercach i ciepło, które podgrzewa nasz zapał.

**Mirosław Twaróg**

– wydawca z zespołem autorskim i redakcyjnym  
(Więcej o nas na [www.podwiatr.pl](http://www.podwiatr.pl))

**POD WIATR** ma formułę otwartą: udostępniamy każdemu młodym twórcy oferującemu czytelnikom swój talent. Jest pismem dla Ciebie! Redaguj je z nami!

Czekamy na Was. Czekamy na Wasze opowiadania, reportaże, felietony, recenzje, wiersze, opowiadania. Cze-

kamy na rysunki, grafiki i zdjęcia. Czekamy na Wasze opinie i propozycje. **NAPISZ!** Będziesz z nami a my z Tobą.

**Nasz adres:**

**POD WIATR**  
85-099 Bydgoszcz 23, skrytka pocztowa 49  
[www.podwiatr.pl](http://www.podwiatr.pl)  
e-mail: [podwiatr93@wp.pl](mailto:podwiatr93@wp.pl)  
[wiatr@byd.top.pl](mailto:wiatr@byd.top.pl)



**KSIĘGARNIA PEDAGOGICZNO-SZKOLNA**

**Marii Maćkowiak, ul. Markwarta 2 w Bydgoszczy.**

[www.pedagogiczno-szkolna.pl](http://www.pedagogiczno-szkolna.pl)

W księgarni nabyć można archiwalne egzemplarze POD WIATR

**POD WIATR**.pl

POD WIATR.PL [www.podwiatr.pl](http://www.podwiatr.pl) społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe.

Redagują: Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny). Sekretarz redakcji: Katarzyna Twaróg. Redaktor graficzno-techniczny: Anna Falerńczyk. Redaktor Witryny Literackiej: Zygryd Szukaj. Adres korespondencyjny: POD WIATR 85-099 Bydgoszcz 23 skr. pocztowa 49. e-mail: [podwiatr93@wp.pl](mailto:podwiatr93@wp.pl), [wiatr@byd.top.pl](mailto:wiatr@byd.top.pl) Z redakcją współpracują: Maria Babyszka i Agata Belka-Świtkowska (Osiek n. Notecią), Marta Jagiello (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Armdt i Maria Mitek (Łobżenica), Dorota Misiak (Toruń), Paulina Młyńska (Poznań), Robert Sawicki (Bydgoszcz). Współpracownicy zagraniczni: Zygmunt Kowalski (Argentyna), Qaarcaana Kowalska (Rosja), Dorota Mabajia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteeraj i Ewa Mahadea (Mauritius), Monika Schneider (USA), Andrzej Szwagrak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembrzusi (Rosja), Justyna Zuń-Dalloul (Wenezuela).

**Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT” Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel.: +48 52 342 93 10. **Skład i łamanie:** Bydgoski Dom Wydawniczy MARGRAFSEN S.C., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel.: +48 52 370 38 00, e-mail: [biuro@margrafesen.pl](mailto:biuro@margrafesen.pl) <http://www.margrafesen.pl>

REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW I ZMIANY TYTUŁÓW.



**Technologia idzie naprzód. Szybko, bezwzględnie, nie oglądając się za siebie. Sztuczna inteligencja, bezałogowe samoloty, Internet – bez którego dzisiejsza rzeczywistość właściwie nie istnieje. Człowiek produkuje maszyny coraz wydajniejsze, mądrzejsze, bardziej samodzielne... Czy w ten sposób czyni nasz świat lepszym? Czy może nie jest tak, że człowiek, który nie chce lub nie potrafi stawać się lepszym i pokonać swoich słabości, buduje doskonale maszyny, które mają go w tym wyręczyć?**

**N**ie lubię seriali. Mam przekonanie, jakby przypominały długie gąsienice, które dzień po dniu zabierają nam mnóstwo czasu, nie dając nic w zamian. Jest jednak jeden serial, który mnie poruszył, dał do myślenia. Codziennie po szkole siadam wygodnie na kanapie i głaszcząc psa, z szeroko otwartymi oczami oglądam w telewizji „Terminatora: Kroniki Sary Connor”. Dlaczego? Bo czuję, że ma mi coś ważnego do przekazania.

Jego bohaterowie walczą z maszynami, które wciąż udoskonalane przez ludzi w końcu stały się na tyle inteligentne, by się przeciw nim zbuntować. Najpierw był Internet – sieć komputerowa dla ludzi. Człowiek chciał jednak więcej, sądził, że osiągnie szczęście dopiero podczas najwyższego rozwoju technologii. Tak narodził się Skynet, sieć, za pomocą której mogą się między sobą komunikować roboty, potrafią nawet same się tworzyć i udoskonaląć. Zwalczanie ich jest jak walka z wiatrakami. Bohaterowie cofają się więc do przeszłości, by zapobiec nastaniu Dnia Sądu, w którym maszyny przejmą władzę nad światem, unicestwiając człowieka.

Początki są niewinne. Komputer grający w szachy, system sterujący sygnalizacją świetlną... Kto by pomyślał, jakie mogą być skutki? Co może uczynić robot, który przejdzie na czerwonym świetle? Życie nie jest jak szachy. Poza tym: szachy są sprawiedliwe. Nie można w nich zawładnąć umysłem pionka, przeciągnąć go na swoją stronę i sprawić, by wykonywał nasze rozkazy. W szachach żaden pionek nie udaje innego ani nie buntuje się przeciwko graczowi.

# Ogrodnicy cyfrowych róż



**T**ymczasem w „Kronikach Sary Connor” maszyny zaczynają mieć humory, samodzielnie zdobywają wiedzę, posiadają nawet własną świadomość. Zaczynają coraz bardziej upodobać się do ludzi i w rezultacie później nie można już odróżnić, kto jest kim. Jest jednak kilka rzeczy, które nas od nich różnią. Wiara i wartości, którymi się kierujemy. Niedoskonałości, dzięki którym człowiek może stawać się coraz lepszy. Roboty z założenia mają być doskonałe.

I jest jeszcze coś bardzo ważnego: miłość. Maszyny wykonują tylko swoją misję, nie zwracają uwagi na coś, co nie ma z nią nic wspólnego. Dobry człowiek, widząc bezbronnego żółwia przewróconego na drodze, pomoże mu się podnieść i odniesie w bezpieczne miejsce. Inny nie zwróci na niego uwagi, a jeszcze inny umyślnie go przejedzie – jak

maszyna bez sumienia, obdarty z wartości niewolnik ulud tego świata. Diogenes codziennie rano wychodził na ulicę, z latarnią w ręku szukając prawdziwych ludzi. Dziś nie możemy zapomnieć o tym, by żyć w świetle latarni. Musimy być najlepszą wersją samych siebie.

„Kroniki Sary Connor” to tylko film science-fiction. Zwyczajny amerykański film. Bywa jednak, że to, co na początku jest tylko fantastyczno-naukową opowieścią, za kilkanaście lat może stać się prawdą. I nie myślę tu o dosłownym buncie maszyn czy czymś podobnym. Myślę o zniewoleniu. Zniewoleniu świata przez technologię, komputery, Internet... Myślę o ludziach, dla których wartością nie jest życie na Ziemi, lecz w świecie wirtualnym. W nim bowiem są panami i mogą znaleźć, jak na wielkim wysypisku śmieci, dosłownie wszystko...

Nie twierdzą, że Internet jest zły. To, jaki jest, zależy wyłącznie od tego, kto z niego korzysta. Nie da się ukryć, że żyjemy w świecie przesiąkniętym technologią i trzeba umieć trzymać do niej dystans. Technologia usiłuje nas zdobyć, zawładnąć nami i wmówić, że jest najlepsza, a my, dzięki niej, możemy stać się takimi jak ona. Nic z tego – my musimy pozostać sobą. Co byście zrobili, gdyby przez tydzień nie było prądu? Gdyby odcięli wam Internet na miesiąc, zabrali komórkę? Tragedia! Potrafiłbyście dalej żyć? Komunikować się z innymi? Niektórzy pewnie czuliby się, jakby odebrano im... ich samych.

Niedawno w mojej szkole wprowadzono dziennik elektroniczny. Ani razu do niego jeszcze nie zajrzałem – jestem więc w tyle! Nauczyciele już nie mówią, że będzie sprawdzian, żebyśmy się przygotowali, co trzeba powtórzyć. Jedynie suche komunikat w Internecie. Ile on znaczy? Tyle co nic.

**A** ja chcę być człowiekiem, rozmawiać jak człowiek, czuć, że żyję w świecie ludzi, a nie maszyn! Nie jestem robotem, który dostanie informacje z poleceniem i zaraz je wykona. Nie! Jestem człowiekiem i jestem odpowiedzialny za innych. Żyję dla innych, ufam innym i ich potrzebuję. I dlatego żadna maszyna nie jest lepsza od człowieka.

Wojciech Cejrowski w jednej ze swoich książek podróżniczych opisuje moment, kiedy Indianin „odkrywa” przyniesioną przez niego plastikową torebkę. Po krótkiej rozmowie pyta, po co biały człowiek stworzył coś, co tak trudno mu zniszczyć? Na co mu się to przydaje?

Właśnie. Postęp jest dobry dopóty, dopóki nad nim panujemy. To my musimy mieć nad nim kontrolę. Twórca nie może stworzyć czegoś, czego później nie będzie potrafił powstrzymać, zniszczyć, gdy obróci się przeciwko niemu. Kiedy stanie się inaczej – nasz koniec będzie polegał na tym, że tworząc coraz bardziej zaawansowane technologie, a zapominając o własnoręcznym dążeniu do doskonałości i podnoszeniu się z upadków, unicestwimy sami siebie.

Ogrodnik bowiem nie może być niewolnikiem własnych róż.

**Mikołaj Wyrzykowski I. 15**  
 *fot. Rafał Natzke-Kruszyński*

Dołącz do nas i zostań filozofem!

## MAŁA AKADEMIA FILOZOFII

### zachęci

- do głębszego poznania siebie i drugiego człowieka
- do znajdowania odpowiedzi na niepokoje egzystencjalne
- do uczestnictwa w dialogu, prezentacji własnego stanowiska i jego obrony

### pomoże

- stawiać pytania, argumentować i prowadzić dyskusję
- dostrzec zagadnienia filozoficzne w nauce, literaturze, sztuce i religii
- zrozumieć różne sposoby pojmowania filozofii na przykładzie osiągnięć wybitnych filozofów
- poznać źródła i granice poznania
- pokochać filozofię
- uwierzyć w siebie

Kim jestem? Skąd przychodzę? Dokąd zmierzam? Jaki jest sens ludzkiego życia? Odwieczne pytania, współcześnie aktualne. Chcesz o nich rozmawiać? Przyjdź do nas! Zaproszenie kierujemy do gimnazjalistów i uczniów szkół ponadgimnazjalnych.

**Spotkania młodych filozofów odbywają się w poniedziałki o godz. 17.30 w bydgoskim PAŁACU MŁODZIEŻY (sala 214).**

Zajęcia prowadzi Katarzyna Twaróg – filozof, teolog i polonista.



*fot. Anna Wajs*



# „Nigdy nie zapominaj swoich marzeń...”



Drogi i bezdroża Dakoty Południowej.

„Nie zapominałem” – pomyślał zapewne doświadczony życiem czterdziestolatek, stojąc u podnóża góry Thunderhead w Dakocie Południowej, na terenie świętych dla Indian Lakota Gór Czarnych. Mężczyzna wiedział, że ta góra będzie już do końca życia jego miłością, pasją i misją. „Nie zapomnę” – mówię sześćdziesiąt cztery lata później, patrząc na górę, z której wylania się potężna twarz Szalonego Konia.

\*\*\*

Osiemnaście mil od słynnych, wyrzeźbionych w górze Mount Rushmore głów czterech prezydentów, herosów Ameryki – George’a Washingtona, Thomasa Jeffersona, Abrahama Lincolna i Theodora Roosevelta, obok małego miasteczka Custer powstaje największa rzeźba na Ziemi – pomnik bohatera Indian. Jej budowę rozpoczął czterdziestoletni amerykański rzeźbiarz polskiego pochodzenia Korczak Ziółkowski i kontynuował do końca życia. Teraz robi to jego rodzina. I choć do zakończenia pracy nad pomnikiem wiedzie długa droga, to efekt już jest imponujący i zapada w pamięć.

Korczak Ziółkowski\* nie miał łatwego ani tym bardziej zwyczajnego życia. Urodził się w Bostonie. Gdy miał rok, jego rodzice zginęli w katastrofie. Był wychowankiem wielu domów dziecka. Po licznych perypetiach życiowych, w 1939 roku otrzymał na wystawie w Nowym Jorku główną nagrodę za popiersie Ignacego Jana Paderewskiego. Dzięki tej nagrodzie genialny samouk stał się znanym i cenionym rzeźbiarzem.

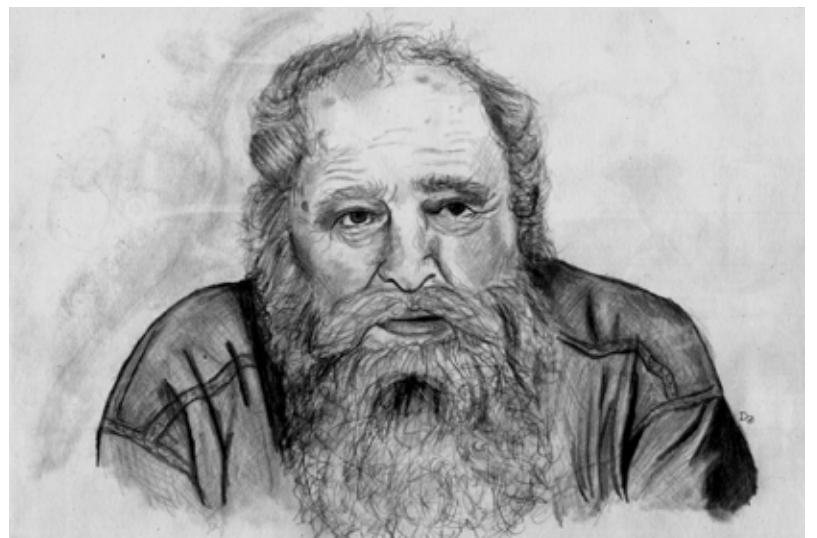
Jego talent dostrzegł Gutzon Borglum, pracujący nad prezydenckim Mount Rushmore National Memorial. To od niego Korczak Ziółkowski nauczył się rzeźbienia w górach. Kiedy wódz Indian Henry Standing Bear (Stojący Niedźwiedź) patrząc na powstające głowy prezydentów w Mount Rushmore, postanowił, w porozumieniu z innymi wodzami, poprosić kogoś o wyrzeźbienie indiańskiego bohatera – wodza Crazy Horse’a (Szalonego Konia) – wybór padł na Korczaka. Po pierwsze – był na miejscu, po drugie – cechował się dużą życzliwością dla Indian. Jednak ostatecznie wodza Siuksów przekonała data narodzin artysty – dokładnie dzień i miesiąc. Urodził się szóstego września, a Szalony

Koń został szóstego września zabity. Nie zastanawiając się więc dłużej, wódz zwrócił się do rzeźbiarza ze słowami: „Ja oraz inni wodzowie pragniemy, by biali wiedzieli, że czerwonoskórzy także mieli swoich bohaterów”. Ziółkowskiego zaskoczyła, a zarazem zafascynowała propozycja. Nie podjął jednak decyzji od razu. Wstąpił do wojska, walczył w armii amerykańskiej na frontach II wojny światowej, był ranny, dosłużył się nawet stopnia podoficera...

Kiedy zapanował pokój, zdecydował się przyjąć zaproszenie Siuksów. Kiedy w 1949 roku na górze Thunderhead odpalił pierwszy ładunek dynamitu, miał czterdzieści lat.

\*\*\*

Stąpając po jego ziemi, przesuwa- jąc się wzdłuż jego pomnika, patrząc na jego kamienną twarz, wspominam historię życia Szalonego Konia (w języku indiańskim Tashunko Witko). Był szanowany przez Indian za to, że nigdy nie złożył



Korczak Ziółkowski.

rys. Julia Sobecka l. 19



Miniatura przyszłego pomnika. W tle góra Thunderhead.

broni. Nie dał się zamknąć w rezerwacie. Stał się dla nich symbolem, wzorem, jak w chwilach zniewolenia zachować swoją tradycję, kulturę i nigdy nie stracić wiary w zwycięstwo i wolność. Odmówił opuszczenia terenów zamieszkiwanych przez rodzime plemię, gdy stały się one obiektem pożądania poszukiwaczy złota. Na czele swoich wojowników pokonał ich w starciu nad Powder Creek.

Szalony Koń stał się sławny przede wszystkim po zwycięskiej dla Indian bitwie nad rzeką Little Bighorn (lub Big Horn). To pod jego dowództwem indiańscy wojownicy rozgromili pułk generała George’a A. Custer. Kiedy po bitwie powracał z plemieniem na swoje ziemie, został pojmany w Nebrasce. Internowany w Fortie Robinson, zginął zdradziecko ugodzony przez Indianina służącego białym. Gdy umierał, jeden ze strażników zapytał go z kpiną w głosie: „I gdzie jest teraz twoja ziemia?”. „Moja ziemia – odparł wódz – jest tam, gdzie leżą prochy moich zmarłych”. Te właśnie słowa mają zostać umieszczone pod pomnikiem wodza, przedstawionego na koniu, lewą ręką wskazującego ziemie przodków.

Dobiega mnie wołanie kuzyna: – W Visitor Center zaraz zacznie się film... Owiewana ciepłym wiatrem, pachnącym lasem szybkim krokiem podążam do miejsca, gdzie odbędzie się projekcja. Siadam obok drobniutkiej Chinki. Z filmu dowia-

duję się, że Korczak, by kupić teren dookoła Thunderhead Mountain, sprzedał swoje ziemie w stanie Connecticut. Przybył tutaj na stałe, gdy okolica była jeszcze bardziej dzika niż teraz. Dzika i bezлюдna. Mimo srogich zim mieszkał najpierw w namiocie. Później w drewnianym domu. Odkładał każdy grosz na dynamit potrzebny do rzeźbienia góry. Jeszcze przez dwa lata mieszkał sam, a jego jedyną pracą i miłością było rzeźbienie rysów Szalonego Konia.

W filmie pierwszy raz widzę, jak wyglądał. Był bardzo silnie zbudowany, miał duży nos i długą brodę. Jak opisywał go jeden z amerykańskich dziennikarzy: „Korczak Ziółkowski – barki dokera, głos trubadura. Język nieokrzesany, ręce artysty”. „Każdy człowiek ma swoją górę do przekucia – ja kuję w swojej” – z uśmiechem mówi z ekranu rzeźbiarz. Kuł w niej wbrew wszystkim trudnościom. Mieszkańcy pobliskiego Custer patrzyli na niego jak na dziwaka, nazywając „dewastatorem gór”. Mimo że z ogromnym trudem gromadził pieniądze na przedsięwzięcie, nigdy nie przyjął ani centa od amerykańskiego rządu, który dwa razy proponował mu dziesięć milionów dolarów! Nie chciał, by ktokolwiek wtrącał się do jego projek-



tu wykonywanego dla Indian, których niegdyś rząd amerykański oszukał.

Po dwóch latach, choć miłość do góry nie osłabła ani trochę, obok niej pojawiła się druga – miała na imię Ruth. Kobieta świetnie rozumiała, że dla jej męża zawsze na pierwszym miejscu będzie praca nad pomnikiem, ale pragnęła pomóc mu w dokończeniu dzieła.

Korczak Ziółkowski miał z Ruth dziesięcioro dzieci. Nadał im w większości polskie imiona. Potomstwo od najmłodszych lat pomagało ojcu i matce w przedsięwzięciu, które dzięki temu stało się projektem rodzinnym. „Zyliśmy na skraju ubóstwa. Czasami musiałam z siostrą iść do miasta i sprzedawać butelki, by zarobić kilka centów. Nam to jednak nie przeszkadzało. Przejelśmy po ojcu miłość do tej góry. Chcieliśmy i chcemy poświęcić nasze życie na dokończenie pomnika” – mówi z ekranu Monika, córka rzeźbiarza.

Przyglądam się slajdowi ukazującemu różnice pomiędzy wielkością i wysokością Statuy Wolności, piramidy Cheopsa i „prezydentem” Mount Rushmore a powstającym pomnikiem Crazy Horse’a. Wrażenie jest piorunujące. Pomnik Szalonego Konia jest najwyższy. Słynne cztery głowy prezydentów zmieściłyby się w samej głowie wodza! Ze wzruszeniem oglądam nagranie z odsłonięcia twarzy wodza. Ziółkowski nie mógł tego zobaczyć. Zmarł niespodziewanie sześć lat wcześniej. Został pochowany przez rodzinę u podnóża Thunderhead. Kontynuowanie projektu powierzył swoim dzieciom i żonie.

Siódemka z dziesiątki jego dzieci w różnych sposób pracuje obecnie przy „Crazy Horse Memorial”. Oprócz pracy nad pomnikiem (teraz nad głową konia i wyciągniętym ramieniem wodza) – zajmuje się tworzeniem Centrum Kultury Indiankiej. Pieniądze na przedsięwzięcie napływają z datków, a także z dochodu z biletów wstępu.



Skalna twarz Szalonego Konia.

ne lalki, którymi bawiły się kiedyś małe Indianki, łapacze snów, bożki wycięte z drewna. Pośrodku stoi rozstawione tipi, wyposażone wewnątrz tak jak niegdyś. Potem przed oczami mam takie samo tipi, ale już na środku suchej prairii, porosłej tu i ówdzie małymi krzaczkami i kępami trawy.

Wewnątrz namiotu pali się ognisko. Iskry wlatujące jak indiańskie duszki lecą ku morzu gwiazd układających się w przeróżne konstelacje. Przyciągają wzrok piękne malowidła na zwierzęcej skórze. Zdjęcia Indian wraz z ich opisem. Mnóstwo eksponatów, których nie sposób wymienić, trzeba je zobaczyć. Dalej jest sklep, a w nim obok zwykłych pamiątek także indiańskie wyroby. Po lewej stronie stoją półki z książkami opowiadającymi o Indianach, Dzikim Zachodzie i „Crazy Horse Memorial”.

Przeoglądam książki. Mężczyzna stojący obok poleca mi dwie, które przeczytał. Wybieram tę, która na pierwszy rzut oka

scem. Mówię do kierowcy, że pomnik jest niezwykle, tak samo jak jego historia. A on na to, tym samym pełnym entuzjazmu głosem: „Istotnie, to niesamowite, jeździę tu kilkanaście razy dziennie i nadal mnie to miejsce zachwyca”.

W drodze powrotnej do „Visitor Center” mijamy biegnące sarny. Wychylam głowę przez okno, wiatr rozwiewa mi włosy. Żegnamy się z przewodnikiem i zmierzamy brukowaną alejką do pracowni, a zarazem starego domu rzeźbiarza. Przed wejściem stoi miniatura pomnika Szalonego Konia w skali jeden do trzydziestu czterech. Dokładnie przyglądamy się projektowi. Umieśniony korpus wodza jakby wyrasta z ciała konia. Widać napięte mięśnie, żyły. W rozwianych włosach Indianin ma zatknięte pióro. Patrzy przed siebie z wyciągniętą lewą ręką. Miniatura ustawiona jest na tle góry, dzięki czemu można zobaczyć, ile serca i wytrwałości włożono dotychczas w powstanie tej

Każdemu to powtarzam: to jest polski pomnik. Polak rzeźbi Indianina. To są dwa bliźniacze narody. Oba przez tyle lat były się o swoją wolność. Każdego dnia, kiedy tam pracuję, myślę o naszej historii, o zaborach, i wiem, że to jest podwójny symbol”. A ja czuję dumę, że największy pomnik na świecie bez niczyjej pomocy, wbrew wszystkim trudnościom, rzeźbi rodzina polskiego pochodzenia nawiązująca do polskości.

W domu artysty na ścianach wiszą jego zdjęcia – przy pracy, z żoną. Obok pisemne błogosławieństwo od Jana Pawła II. Idę dalej zgodnie ze znakiem *Sculptors studio home, sculptors workshop*. Piękne rzeźby: orzeł bielik, popiersie Ignacego Jana Paderewskiego – utytułowane nagrodą na konkursie w Nowym Jorku i wiele innych. Są także rzeźby jego córki – Moniki, która najwyraźniej po ojcu odziedziczyła talent do ożywiania marmuru.

Wychodząc z pracowni, zauważyłam drewnianą tabliczkę, na której wypisane są słowa *Never forget your dreams* (nigdy nie zapominaj swoich marzeń). Niby proste, oklepane słowa, jednak tutaj uderzają w serce z podwójną siłą – siłą przykładu danego przez Korczaka, który swoich marzeń nigdy nie zapomniał. Wszyscy żyjemy marzeniami, lecz często narzekamy, że nigdy się nie spełnią i już na starcie z nich rezygnujemy, bo jak się mówi: „Najtrudniej wstać z krzesła”.

Posąg Indianina, oprócz słów „Moja ziemia jest tam, gdzie leżą prochy moich zmarłych”, utrwała także znamienne słowa „Nigdy nie zapominaj swoich marzeń”. Stojąc tu, nabieramy przekonania, że mogą spełnić się. Wystarczy wiara i wytrwałość, która cechowała tych dwóch mężczyzn – wodza i artystę, ludzi dwóch ras, dwóch kontynentów, dwóch religii, ale jednego ducha, których połączyła góra Thunderhead. Dzięki Korczakowi Ziółkowskiemu nad Górą Czarnymi znowu unosi się indiański duch. Obietnica białego tym razem zostaje dotrzymana. – Nie zapomnę – mówię, spoglądając w oczy Szalonego Konia. Obiecuję sobie, że kiedyś tu wrócę.

tekst i zdjęcia: Maria Jazdon I. 14

\*Rzeźbiarz obrał sobie imię Korczak, wywodzące się – jak to odkrył – od herbu rodziny Ziółkowskich. Artysta był strykiem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, sekretarki Melchiora Wańkowicza.



Współczesność...



i historia w Centrum Kultury Indiankiej.

\*\*\*  
Na ekranie pojawia się Ruth – krzepka niewiasta o siwych włosach. Zaprasza nas do zwiedzania Centrum Kultury Indiankiej i pracowni Korczaka. W muzeum wita mnie uśmiechnięta kobieta w średnim wieku i z bezpośredniością typową dla Amerykanów pyta, jak mijają dzień, czy mi się tu podoba, skąd jestem. Opowiadam, że przyjechaliliśmy z Polski, że mamy w Ameryce rodzinę i „odkrywamy” kolejne stany. Słucha z zainteresowaniem. Zachęca do zwiedzania.

Jestem zafascynowana tym miejscem, jego historią. Jest co zwiedzać. Wręcz czuje się tutaj zapach żywcich lasów, słyszy odgłosy indiańskich bębnow. Idę wzdłuż gablot wypełnionych rozmaitymi eksponatami. Wiele z nich otrzymał Korczak od zaprzyjaźnionych Indian. Ślicz-

wyduje się napisana prostszym językiem, a zarazem przyciąga okładką. Jej tytuł to „Crazy Horse a Life”.

Udaję się w stronę busa, którym podejziemy bliżej góry Thunderhead. Kierowca, około sześćdziesiątki, w okularach, wita mnie z uśmiechem na twarzy. Po mojej rodzinie do pojazdu wsiada grupa Japończyków – każdy z aparatem w rękę – i kilku turystów. Ruszamy. Mężczyzna, który przywitał mnie w wejściu do busa, z entuzjazmem i niespotykaną energią opowiada o pomniku. Widać, że kocha to miejsce.

Podjeżdżamy bliżej pomnika. Japończycy już „strzelają” zdjęcia za zdjęciem, my też nie robimy ich wiele mniej. Zaraz znajdziemy się na wprost wodza. Moje oczy spotykają się na chwilę z kamiennym wzrokiem Szalonego Konia. Podświadomie posyłam mu spojrzenie pełne szacunku. Jestem oczarowana tym miej-

rzeźby. Ileż serca, aby duch Szalonego Konia mógł narodzić się na nowo i roztoczyć moc nad swoją ziemią. By przypomnieć ostatnim Indianom ich dzieje i dodać otuchy.

Korczak był bardzo przejęty losem Indian. „Indian czystej krwi już prawie nie ma. Stanowią wymierającą rasę, czyż to nie potworne? Spotkaliście kiedyś Indianina czystej krwi? Nie ma lepszego człowieka pod słońcem, bardziej szlachetnego, noszącego więcej prawdy. Ja jestem z nimi, dlatego dam im ten pomnik. Obiecałem. Jestem wyjątkiem, bo biali tylko obiecują – jak to robili zawsze – i nigdy nie dotrzymują słowa! Ale ja dotrzymam!” – mówił rzeźbiarz.

Miał jeszcze drugi powód. Ujawnił go Waldemarowi Łysiakowi, który jego słowa zamieścił w książce pod tytułem „Asfaltowy Saloon”: „To jest polski pomnik, rozumiesz?



Autorka reportażu u podnóża góry Thunderhead.

Bibliografia:  
Wikipedia – free encyclopedia  
Waldemar Łysiak, „Asfaltowy Saloon”  
Aleksandra Ziółkowska-Boehm,  
„Otwarta rana Ameryki”  
Larry McMurty, „Crazy Horse a Life”





Londyn: Park Greenwich...

**Podróżować można też umyślnie. Zwiedzać ponownie te same ulice i zasiadać w ulubionej praskiej kawiarni codziennie na nowo. Miasto daje mi schronienie. Czuję się w mieście zawsze u siebie. Czasami pierwsze spotkanie bywa trudne, z każdym jednak następnym jestem w miastach coraz bardziej „swoja”. Miasto swoim hałasem i zgielkiem daje mi spokój. Im większe, tym bardziej jestem spokojna.**

### Londyn wtedy

Pięć lat temu Londyn był dla nas większy, bardziej chaotyczny i trochę bardziej zaśmiecony. Nieco bardziej przytłaczający i chłodniejszy niż teraz.

Pamiętam doskonale smak mrożonej kawy rozdawanej w ramach jakiejś akcji promocyjnej przy wyjściu z metra na Piccadilly Circus. Ogromne billboardy, kolorowy tłum ludzi. Przebijamy się z Elą przez miejską skorupę. Zaczynamy zwiedzanie od oczywistości, Big Ben, spacer nad Tamizą, Tower Bridge. Jesteśmy nieco przygaszone wielkością, kolorami, zapachami. W kieszeni mam parę funtów na wodę mineralną, w zdrętwiałej ręce aparat – turystyczny minimalizm. Londyn wydaje mi się obcy. Wszystkim nam jawi się jako szczelne, niedostępne miasto. Nawet Ela, która mieszka w Anglii już rok, nie przepada za stolicą.

Krążymy po głównych ulicach i skrzyżowaniach, przysiadamy na skwerach, żadna z nas nie zna ich nazwy, żadna nie

wie, co przedstawiają pomniki – oblegane i fotografowane przez turystów. Zmęczone i zaspane zostawiliśmy przewodniki na samolotowych siedzeniach, a pięć lat temu o łatwym dostępie do Internetu przez telefon nie było jeszcze mowy. W końcu trafiamy na pomnik Nelsona Mandeli – wreszcie jakieś znane nazwi-

ska! Przysiadamy na ławce obok, czując jakby większą pewność, oswajamy sobie Nelsona Mandelę, czujemy się bardziej u siebie. Odpoczywamy i przyglądamy się tłumowi. W końcu kapitulujemy i idziemy odpocząć do przyjaciół Eli. Mieszkają gdzieś w okolicach Camden, pochodzą z Malezji. Nie zdążymy zdjąć kurtek i butów, a już sadzają nas przy stole pełnym malezyjskich specjałów. Mówią, że to normalne, że za pierwszym razem, kiedy byli w Londynie, postanowili, że nigdy więcej tu nie wrócą. Teraz nie wyobrażają sobie mieszkać gdzieś indziej.

### Wrocław

Majówka, osobowy pociąg do Wrocławia. Wsiadłam nie w ten, w który powinienam. Jadę cztery godziny zamiast dwóch, okrężną drogą. Jest jednak miło,



...i centrum miasta.

fot. Paulina Młyńska

otwieram okna, wyciągam się na dwóch siedzeniach. Konduktorowi popsuł się gwizdek i na każdej stacji wychyla się przez drzwi, krzyżąc „Odjazd!”. Jadę i myślę o mieście. Jakimkolwiek. Kiedyś było tylko miejscem rozwoju przemysłowego, brudnym, nieprzyjemnym miejscem ciężkiej pracy. Teraz jest siat-

żające niż przedmieścia, tętnią życiem, muzyką, kulturą, sztuką.

Następnego dnia od rana jedziemy na Ostrów, wchodzimy do chłodnych kościołów, klasztorów, robimy mnóstwo zdjęć, snujemy się po ulicach. Przecież tereny Wrocławia nie zawsze były polskie. Teraz to patchwork złożony z architektury niemieckiej, polskiej ze sznytem współczesności doprawiony zieloną barwą parków. Przysiadamy w kawiarni obok rynku. Sączymy herbatę, obserwujemy. Miasto wymaga chyba od swoich mieszkańców pewnej kultury i sposobu bycia, albo się w nie wtopisz: strojem, godziną wstawania i kładzenia się spać, sposobem jedzenia i życia, albo zawsze będziesz czuć się obco. Musisz je oswoić, wchłonąć, spenetrować umysłem, ciągle na nowo psychicznie w nim podróżować.

### Londyn teraz

Teraz Ela jest na trzecim roku architektury na londyńskim uniwersytecie Westminster. Jest piekielnie gorąco, znowu mnóstwo ludzi. Odpoczywamy, czekając na metro, w podziemnym chłodzie. Najpierw zwiedzamy opustoszałą rano dzielnicę biznesową. Właściwie nie lubię słowa „zwiedzać”. Wchłaniamy stopniowo miasto w swoją świadomość, w pamięć. Skręcamy w małe, boczne uliczki, wchodzimy w szczeliny między budynkami, Ela mówi. Mówi ciągle, opowiada, tłumaczy.

Wreszcie wciskamy się w jakąś dziwną szczelinę za wielkim wieżowcem

ciąg dalszy na str. 7.

# Historyczne mozaiki

ką zależności i zobowiązań, topografią kawiarni i muzeów, historyczną mozaiką. Miasto to miejsce, gdzie ilość, a właściwie wielkość równa się jakości, możliwości wyboru. Teraz w każdym mieście czuję się jak w domu. Jestem obywatelką miast – turystką stając się, kiedy z nich wyjeżdżam.

Wrocław wita mnie przebudową dworca, opóźnionymi pociągami, soczystą zielenią parków i skwerów. Wieczorem wrywamy się z Olafem na długi spacer najstarszym parkiem miasta. Klimat nieco gotycki, stare lampy, półmrok. Zielone drzewa stają się w tym świetle niemal niebieskie. Docieramy do fontanny przy Hali Stulecia. Tłum wrocławian, przysiadają na trawie, jedzą, popijają wino. Takie wodno-świetlne pokazy z muzyką odbywają się co wieczór. Miasta nocą są mniej przera-



Warszawa: plac Zamkowy...



...pomnik Adama Mickiewicza.

fot. Robert Sawicki



ciąg dalszy ze str. 6.

i wchodzimy na mały placzyk z ławkami i fontanną. Obok mały, gotycki kościół, ruiny dawnej katedry, w samym centrum szklano-metalowej dzielnicy miasta! Na szczątkach katedry wije się bluszcz, wspinamy się po ławce i siadamy w otworze po strzelistym oknie. Jemy śniadanie. Jest godzina 8.00 angielskiego czasu. Jest nam miło w tym środku wielkiego świata liczb i giełdowych notowań. Żadnych tendencji, same miejskie szczeliny, małe placyki, pęknięcia londyńskiej rzeczywistości. Wczesnym popołudniem dojeżdżamy do Greenwich. Przez tamtejszy park przechodzi zerowy południk, obok jest obserwatorium astronomiczne. Na wszystkich ulicach tamtejszej dzielnicy poro-

wieszane są sznury małych, kolorowych proporczyków, kolory w ogóle są wszędzie. Wchodzimy do parku przez boczną, kamienną bramę. Park jak na angielskie standardy nieco zapuszczony, sucha, nieskoszona trawa, nie ma ławek, nie ma placów zabaw. Jest za to coś o wiele lepszego. Panorama samego centrum Londynu wylaniająca się z zarośli nagle, zaraz po pokonaniu małego wzniesienia. Spędzamy tam jakąś godzinę, w ciszy. Siedzimy w upale na suchej trawie i gapimy się przed siebie. Wielkomięjska dżungla zawsze robiła na mnie wielkie wrażenie.

### Warszawa

Na dobranoc Mama opowiadała mi o kamiennych lwach w Łazienkach,

dwadzieścia lat po wojnie nie wszystkie miały z powrotem głowy i łapy, co nie przeszkadzało jej we wchodzeniu na nie i udawaniu „małej księżniczki”. Opowiadała też o targu na Woli, na który biegła po jabłka i gruszki (ciotka Stenia lubiła tylko klapsy). Opowiadała też o tym, z jak wielką uwagą przyglądała się zmianom warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Warszawski bruk był wtedy jeszcze powyszczerbiany, kamienice w większości nieodmalowane. Wieczorami ciotka Stenia (członkini batalionu „Parasol”) opowiadała o Powstaniu Warszawskim bajki na dobranoc. Mama przeżyła szok, gdy dowiedziała się, jakoś wtedy, kiedy skończyła siedem lat, że opowieści z powstania zdarzyły się naprawdę. Teraz mówi, że poszła wtedy z ciotką na Powązki za-

palić zniczy. I nie mogła się nadziwić. Tak zacięcie bronić miasta? Jednego miasta, kamienic, ulic, kawiarni? Czego państwa – owszem, ale miasta? Zrównanego z ziemią – oplakiwać, odbudowywać? Wracala później z wakacji w Warszawie na wakacje do babci, na wieś, i wszystko wracało do codziennego porządku. Gruszki zrywało się prosto z drzewa, znicze zapalało się na grobach pradziadków na pobliskim małym cmentarzu. Dla mnie Warszawa do dziś jest żywą historią i nie umiem patrzeć na nią inaczej. Ilekroć jestem w Łazienkach, siadam na schodach przy kamiennych lwach, głaszczę je po doklejonych łapkach i pyskach. Zapalam zniczy przy wejściu na Powązki. Warszawa to też moje miasto.

Paulina Młyńska I. 21

## 19 lat POD WIATR – wspomnienie refleksyjne

# Kwiaty zapuszczonych ogrodów

Pytania, pytania, pytania. I żadnej odpowiedzi od wieków. Za oknem dzień szary, mokry i nagi jak rzeźba z marmuru – świat bez ram. Za oknem dzień zbiera w swój kosz ludzki smutek i liczy swój udany plon. A my? A my jak rzeźby z marmuru zatrzymujemy się przy oknach i liczymy każdą kroplę deszczu. Jedna kropla to połowa serca, którego już nie ma, które odeszło.

Jak to było? Różnie. Najróżniej. Zawsze inaczej. Ból na początku był straszny – potem zaprzyjaźniał się z przyzwyczajeniem. I można było nadal śmiać się i żyć w słońcu. Aż nagle dzień szary i deszcz, i to puste okno, w którym prócz nas już nikt nie stoi. A powinien, bo jeszcze niedawno tak było.

Dlaczego odszedł? Znowu pytanie, na które nikt nie odpowie, bo nikt nie jest w stanie przebić się przez tłok chmur mokrzych albo przez powłokę czarnej ziemi. Nikt nigdy nie wie do końca, dlaczego nas opuszczają i ten raj jabłka przekłętęgo. Nikt nie wie, dlaczego odchodzą wbrew naszej woli i wbrew woli Boga. Może to wolność? Może to chęć odnalezienia zagubionej tożsamości?

Biegając przez życie, codziennie gubimy miłość, przyjaźń, nadzieję, wiarę, wolność – wszystko to, z czego utkany jest człowiek. Dopiero w zawahaniu zauważamy, że nic nam nie zostało z naszych uczuć i z samych siebie, bo uleciały jak dzikie, nieokrzesane ptaki. Wrócić się nam nie wolno, bo powrotnych dróg nie ma. Drogowskazem mogą być jedynie wspomnienia.

Niektórzy będą dalej, myśląc, że tak naprawdę wszystko jest dopiero przed nimi. Ale są i tacy, którym drogę mgła przesłoniła... i łamią się przed tęczą życia, którą jest palec Boży zgięty nad światem.

Dlaczego zawsze jesteśmy za późno? Za późno o ostatnie uderzenie serca, o ostatnie słowo, którym mogło okazać się nasze imię, o ostatni gest, który mógł okazać się dotykem dłoni. Gdzie wtedy byliśmy? W takich chwilach oni są sami z sobą i z tym, co zrobili.

Co roku dobrowolna śmierć dotyka tysiąca ludzi. Są wśród nich nasi znajomi:

nic do tej pory o nich nie wiedzieliśmy. Byli dla nas zwyczajnymi przechodniami idącymi w swoją stronę własnymi drogami. Nie można było zauważyć, jak te oczy płaczą, usta krzyczą, dłonie się ku nam wyciągają. Jak to: przecież nie staliśmy odwróceniem plecami? Nie, nie staliśmy, a jed-

nak uszło to naszej uwadze. Dopiero gdy tragedia przekracza swoje granice – my zatrzymujemy się, z litością wspominając, wydziwiając czasami. Niekiedy jest też maleńki wyrzut sumienia, że można było temu zapobiec, że przecież lepiej znało się tę osobę od innych...



Nie wystarczy znać. Nikt nie jest w stanie oddać jej tego, co w swoim życiu zgubiła sama. Ale można podzielić się i można siać przeróżne ziarna w wyschłej skorupie ziemi. Jedno na pewno wykiełkuje. Dlaczego zwąpiliśmy?

Miłość mierzy swą wartość w chwilach rozstania, w chwilach bezpowrotnych odejść. Dlatego śmierć jest taka straszna. Nagle dostrzegamy, że nie potrafimy kochać po n a d w s z y s t k o, że niekiedy miłość to za mało, by móc ochronić się przed śmiercią. Zauważamy, jakże boleśnie, że nie ma uczucia przewyższającego śmierć. Więc to tak, jakby kochało się daremnie, próżno... Dlaczego?

Tę tajemnicę zostawiają dla nas, plonąc jak niezakwitłe kwiaty zapuszczonych ogrodów. Odchodzą, myśląc, że zdołają uciec, że wszystko skończy się na wieki. Odchodzą z nadzieją na znalezienie swych dzikich ptaków, które przecież uleciały ku samemu niebu. A jeżeli t a m spotka ich zawód?

Dusze trapiące śmiercią samobójczą błądzą w bólu rwane przez wiatr. Są zbyt zwiewne, by móc dotknąć ziemi, dotknąć ludzkiej dłoni. Błądzą w oblędzie, bo naprawdę nie wiedzą, co się z nimi stało. Nie potrafią uwierzyć w swoje odejście. Chciałyby wrócić, lecz nie jest to możliwe.

Pytam, kto tak naprawdę za to odpowiada? Oni – opuszczeni, bezradni na scenie życia; przecież wołali o pomoc. My – idący obok rażnie; nic nie słyszeliśmy. Więc winny jest Bóg, że wszystko tak ułożył? Jest Bogiem, więc wiedział, jak to się skończy. A Bóg nie zaprzeczy, nie obroni się, bo nikt nie jest w stanie wywołać Go przez mokre chmury albo przez powłokę czarnej ziemi.

Marmurowi ludzie stoją nadal w swych samotnych oknach i liczą każdą kroplę deszczu – połówki serc, które odeszły. Stoją zapatrzeni w mokry dzień i jego przemijanie.

Agnieszka Kniwel I. 17  
POD WIATR nr 5/1994

Z cyklu „Bydgoskie cmentarze”  
fot. Robert Sawicki

# Witryna Literacka

Jeszcze niedawno, bo w ostatnich latach XX wieku, robiła furorę i karierę wśród starych oraz młodych telewizyjna reklama proszku do prania. Dwaj rośli bracia Kiemiczycy pytali z szacunkiem swego rodzica: „Ociec, prać?”. Słowo „prać” nie łączyło się oczywiście u Sienkiewicza, jak w telewizyjnej reklamie, z prostą czynnością uruchomienia automatu. Każdy odbiorca współcześnie to wiedział, pojmował aluzje

## Ojciec synom przyzwolił

i nawiązania. Dziś, po smutnych doświadczeniach funkcjonowania nowej matury, takie porozumienie pokoleniowe poprzez literackie odwołanie do *Potopu* czy do dzieł uznawanych za kanoniczne i arcy-polskie nie jest już, niestety, możliwe. To bardzo źle, uważają fachowcy, bo musimy przecież posiadać wspólny kulturowy depozyt, ten skarb, poprzez który się określamy jako Polacy, tu, w kraju i tam, za granicami, w rozproszeniu. I porozumiewamy. Kto ma go pielęgnować? Szkoła, rzecz jasna, a matura potwierdzać, że pielęgnacja dała dobre wyniki.

I w tym kierunku ostatnio sprawa zmierza. Powoli. A za rok bardzo już przyspieszy. Przyszłoroczna matura da abiturientom możliwości potwierdzenia, że jeżeli nie każdy, to wielu w dużym zakresie posiadało ten skarb na własność. Nieoceniona w tym rola nauczycieli. Narzekano dotąd powszechnie, że pisemna praca maturalna pozbawia samodzielności, bo trzeba wstrzeleć się w niejasne kryteria oceny, które są jakby wzięte z księżycy. Dostajesz temat, teksty... i pisz. Jak sprawdzający nie znajdzie punktów z gotowego klucza, totalna porażka. Napisałeś oryginalnie, niebanalnie twórczo – ale do poprawki! Klucz się liczył, a nie wyobraźnia, kreacja, talent. Na to nie było punktów. To ci curiosum!

Nadeszła jednak kryśka na Matyska, czas kończyć z tym absurdem. Na przyszłej maturze tylko jeden kwestionariusz będzie jeszcze narzucał tekst do analizy. Pojawia się za to tematy, do których literackie utwory dobrać sobie już sami piszący. Trudniej? Tak, lecz mądrzej. I ten klucz nieszczęśny zostanie poważnie poluzowany. Nie będzie rygorystyczny, za oryginalność i talent dostaniesz punkty.

To taka jaskółka zmian, uwertura do rewolucji roku 2015, w którym matura z języka polskiego objawi się w całkiem nowym kształcie. Bez narzucanych tekstów i bez księżycowego klucza. Na ustnej – losowanie do odpowiedzi zagadnień obejmujących trzy-letni tok nauczania. Na pisemnej – samodzielna praca w formie rozprawki czy eseju. Ci, co dzisiaj męczą się w pierwszych klasach, dostaną więc szansę, aby ukazać na maturze ten nasz wspólny skarb w indywidualnej młodzieńczej krasie.

Zygfryd Szukaj

Wojtek Szablowski I. 18

### Jak na Wieży Babel

Stoję i myślę o wszystkim  
Po przeczytaniu tego wiersza,  
w Twoich oczach pojawiły się  
dziwne myśli.

Nie dostrzegam już w nich  
Miłości i Przyjaźni.  
Jedną rzecz widzę,  
Którą jest zdrada.  
To tak jak na Wieży Babel.  
Nie chcesz mówić,  
tylko milczysz.  
Gdy ja pytam,  
odpowiadasz, tak jak ja.

A jest jak na Wieży Babel.  
Podaj mi swoją dłoń.  
Wiem, nie ma jej.  
Podaj serce swoje mi.  
Wiem, puste jest.  
Nie ma już dla mnie miejsca.  
Zamknę oczy i pomyślę,  
Że jest tak...

Jak na Wieży Babel.

Nie chcesz mówić,  
tylko milczysz.  
Gdy ja pytam,  
odpowiadasz, tak jak ja.

A jest jak na Wieży Babel.

### Moje miejsce

Jestem, gdzieś tam,  
Gdzie nie ma nas.  
Ciągle stoję sam.  
Chcę zmienić ten stan.  
Cały mój świat  
To ja i Ty.  
Jesteś, gdzieś tam,  
Gdzie brak moich dłoni.

Bez przerwy ja  
W lustrze i myślach.  
Cały Twój raj  
Powstał tylko dla mnie.  
Chcę być tam,  
By widzieć i czuć,  
Słyszeć i myśleć.  
Powiedzieć: to Moje Miejsce.

Asia Tarasińska I. 14

### Kolorowe barwy szarego

Spadasz jak  
Jesienny liść  
Miętko i pewnie  
Jakbyś miejsce w Raju  
Zapewnione miał od  
Wieków

\* \* \*

nawet ta miłość  
związała  
nie pomogła  
wzruszająca piosenka  
jej śpiew  
nie przymknął  
twoich powiek

\* \* \*

do zobaczenia  
Ludzka Gamo Kolorów

### Zapachy codzienności

Tylko samotny  
dzień  
Pobudza mnie  
do życia  
Zapach książki  
Jedna łyżeczka  
Kawy  
Mydło i trochę  
Wody –  
Moje vademecum  
na wszystko  
To dla ciebie  
Podróż Drogą Mleczną  
A dla mnie  
dzień za dniem  
dla mnie –  
codziennność

### Papierowy świat

Dziś stworzyłam  
dla Ciebie  
nową konstelację  
gwiazd  
– w niebie –  
Dziś ptaki  
Śpiewają  
dla Ciebie  
troskliwą piosenkę  
– na ziemi –  
Chciałbyś coś jeszcze,  
Kochanie?

Franciszek Światała I. 17

\* \* \*

krótka rozmowa  
przebłysk uśmiechu  
kosmyk włosów  
przy brązowych oczach

wdzięczny gest  
nieśmiały policzki  
perłowe zęby  
w półotwartych ustach

tylko to istnieje  
istnieje prawdziwie  
trochę nierealnie  
zbyt pięknie

delikatne ciało  
białe dłonie  
zwinnie prostują  
kasztanowe fale

w zachwycie patrzę  
nic innego nie ma  
świat i niebo całe  
wszystko

\* \* \*

niedojrzałości ściekiem splywam  
nic nie widzę otoczony  
plastikiem  
głównym budulcem epoki  
nicością

nie zwolnię  
spadam systematycznie  
w określonym czasie  
do ziemi zgjęty  
spadam podręcznikowo

wybieram  
słusznie – nie zawsze  
zawsze – subiektywnie  
sięgam końca  
egoistycznie  
do końca

\* \* \*

siedzisz sama  
w kawiarni nad kawą  
papierosem co dogasa  
i widokiem przed Tobą  
morzem ludzi zamkniętych  
w kamienic kanionie  
i krzywym nieba zwierciadłem

siedzisz sama  
w gwarze innych stolików  
czas tak samo płynie  
tobie i innym  
których nie obchodzisz

siedzisz sama  
nikt nie zauważy  
kiedy wolno wstaniesz  
tylko kelner  
pieniądze zabierze





# Szczęście z duszy

## Władza zgubna

Z początku zwykłe życie, ten sam mężczyzna, wiodący spokojne przemijanie lat wraz z żoną, niemający żadnych poważnych problemów. Pewnego dnia jednak ta harmonia się zaburza i człowiek staje się inny.

Gdy mamy władzę w zasięgu ręki, chęć skorzystania z niej jest tak silna, że mogłaby doprowadzić do zamordowania bliskiej osoby w rodzinie, a zarazem króla. Marzenie o władaniu państwem czy ludźmi staje się głównym powodem dla sensu istnienia, doprowadzając do zbrodni – tak jak pokazał to Szekspir w utworze „Makbet”.

Prawdopodobnie bohater nie był zadowolony ze swojej decyzji. Możliwe, że wybrał sobie inaczej zaistniałą sytuację, nie uświadamiając sobie jej konsekwencji? Może morderstwo nie było konieczne? Co jeśli władza nie daje szczęścia? A może są przypadki, gdy jest w stanie to dać?

## Pieniądze ścieżką życia

Pragnąc czegoś, dążymy do realizacji tego, licząc, że przyniesie nam szczęście. Pieniądze są jednym z tych pragnień, które chcemy zaspokoić. Nie ma chyba osoby na świecie, której by choć raz przez myśl nie przeszło takie stwierdzenie: „Gdybym był bogaty, to moje życie byłoby inne, byłbym szczęśliwy”. A jak to wygląda w rzeczywistości?

Przypuśćmy, masz „te” pieniądze, i to w niemałej sumie, dają ci jak i rodzinie szczęście, jednak czy nic nie mogłoby zaburzyć tej równowagi? Nie sądzisz, że życie byłoby zbyt piękne? Wszystko ślicznie, ładnie, lecz do czasu, tej chwili, która całkowicie zmienia życie. Takim było właśnie wproszczenie się Tartuffe’a do prywatnego świata Orgona. Świętoszek, mając świadomość majątku gospodarza domu i wiedząc, jak ceni on religijność, pozuje na dewotę, czyli osobę, która przesadnie manifestuje swoją wiarę. W tym wypadku robi to przede wszystkim dla pieniędzy. Orgon, będąc osobą łatwowierną, obdarza Tartuffe’a zaufaniem i wielkim uznaniem oraz stawia go ponad rodzinę, gdyż to właśnie jemu oddaje cały swój majątek i na jego korzyść wyrzeka się i wyrzuca z domu swojego syna. Świętoszek wykorzystuje to i pragnie również zdobyć jego żonę Elmirę, lecz ona, przebiegła, ujawnia przed mężem prawdziwe

oblicze Świętoszka. Gdy Orgon przegląda na oczy, Tartuffe wyklada karty na stół i w ten sam dzień pozbawia Orgona dachu nad głową.

Co prawda wszystko skończyło się dobrze, bo zatrzymano Świętoszka i Orgon odzyskał to, co utracił, jednak jakim kosztem? Czy było warto? Dziwne, że gdy stajemy się bogaci, wszyscy, którzy wcześniej nie zwracali na nas uwagi, udają, że nie wiadomo jak są z nami związani. Nie warto ufać, o tak, ludziom. Może by do tej sytuacji nie doszło, gdyby nie majątek? Czy naprawdę pieniądze są potrzebne w życiu, po za tymi, które zaspokajają potrzeby życiowe? Dzisiejszy świat oparty jest tylko na fortunie? Czy inaczej nie można osiągnąć szczęścia? Być może nie zawsze, ale mając pieniądze, prawdopodobnie skupiamy się tylko na nich, zapominając o najbliższych.

## Kariera zawodowa pretekstem

Z pozoru początek zapowiada się dobrze, somalijska dziewczyna, Waris Dirie, pojawia się z niewiadomych przyczyn w Londynie. Poznaje Marylin, która odmieniła jej życie i pomogła stanąć na nogi. Waris zostaje sławną modelką, lecz to jej nie wystarczy.

Pewnego dnia opowiada o dzieciństwie swojej przyjaciółce, Marylin. Okazuje się, że somalijska dziewczyna w wieku trzech lat została poddana obrzezaniu, a siedem lat później sprzedana człowiekowi, za którego miała wyjść za mąż, i wtedy udało jej się uciec i zyskać karierę na arenie międzynarodowej.

Czym dla niej był zawód modelki? Pretekstem do wyjawienia światu, jaka krzywda dzieje się każdego dnia tysiącom małych afrykańskich dziewczynek. Waris została gubernatorem i do dziś broni praw kobiet.

Czy zawsze kariera zawodowa daje możliwość obdarowywania szczęściem innych? Może są sytuacje, kiedy skupiając się na karierze, tracimy bliskich?

## Na pograniczu dwóch światów miłości

Uciekł w inne miejsce, z dala od ludzi, bo nikt nie mógł zrozumieć jego twórczości. Pewnego dnia poznał tę, która wypełniła jego duszę.

Na jego nieszczęście, był zakochany w niej do szaleństwa, lecz ona nie mo-

gła przyjąć jego miłości, ponieważ była już zaręczona. Nie mogąc wyobrazić sobie życia bez niej, bohater popełnia samobójstwo – historia niespełnionej miłości Wertera do Lotty.

Czy miłość sprawia jedynie cierpienie? Czy zawsze jest niespełniona? A może istnieje miłość odwzajemniona, która na dobre potrafi odmienić życie? Możliwe, że zdarzają się i takie.

Do refleksji nakłania historia pewnej dziewczyny, która już jako sierota trafia na Zielone Wzgórze. Samotna, niemająca nikogo, śliczna, ruda dziewczynka. Przygarniają ją państwo Cuthbert i od tego momentu odmienia się jej życie. Poznaje Gilberta, który zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia, walcząc o jej względy tzw. „końskimi zalotami”, lecz ona za każdym razem go odrzuca. Przejrzała na oczy, gdy chłopak był ciężko chory, zrozumiała wtedy, że jej na nim zależy. Gil wyzdrowiał i wziął ślub z Anią. Przyszł rok 1914, rozpoczęła się I wojna światowa. Gilbert, będąc lekarzem, chciał ratować ludzi, więc wyjechał. Ania zaczęła go szukać, będąc sanitariuszką. Obydwoje na wojnie otarli się o śmierć, lecz przeżyli i żyli długo i szczęśliwie.

Jednak istnieje miłość odwzajemniona, która pozwala dostrzec sens istnienia. I choć wymaga poświęcenia obustronnie, to chyba za taką cenę jest tego warta. W niektórych przypadkach miłość staje się ucieczką od codzienności, od problemów – jako jedyny sposób istnienia. Która miłość jest lepsza: między Werterem a Lottą czy Gilbertem a Anią – to pytanie zadajemy sobie codziennie na lekcjach.

Katarzyna Brzoskowska I. 18

## Darek Białczyk I. 18

### Silka

Naturalne zdrobienie  
Gramatycznych niedouczków  
Oswojenie  
Zbratanie  
Jestem po silce  
Wyciśnięty jak cytryna  
Tylko tak  
Dodaję smaku  
Solę  
Pieprzę  
Kuszę najedzonych i głodnych  
Chwila prawdy?  
Nie  
W małej kropli potu  
Duża prawda na życie

## Filip Chrzęszczak I. 20

### Pokładam w Tobie nadzieję

Krzyczę wśród głuchych,  
albo tańczę w autobusach nocnych  
i zasypiając, biegnę przez miasto.

Później macham do ślepych,  
żegnając się z przyjaciółmi,  
i obściskuję obcych.

Uderzam dłonią w szybę,  
bo nie chcę, byś był mi obojętny.  
Zaciśniętą dłonią w szybę  
uderzam, aż do zmęczenia.

Pokładam moją nadzieję,  
ciągnącą mi od dawna,  
na twoich wątych barkach.

Później zapewne odejdziesz,  
tracony wyrzutami sumienia  
i moim złamanym ramieniem.

Witam się ze starym przyjacielem,  
pociera mi dłońmi ramiona,  
unikając bezruchu jak snu  
w pijanym locie pszczoła.

### Piękni niepełnoletni

W szponach nocy  
szepczącej do uszu kłątwy  
zatańczyła z nim  
i był dla niej pierwszy.

Na dachu miasta  
umierającego w oparach mgły  
dała mu nadzieję  
i wszystkie koszmary znikły

Sto metrów od domu  
pachnącego jej młodą matką  
połknęła ją jutrzienka  
i życie znów by

## POCZTYLION LITERACKI



■ **Maja R., Bydgoszcz** – Maju, na przyszłość, gdy będziesz przysyłała nam teksty, na co liczę, to zawsze w załączniku do listu, a nie pod listem. Usprawnia to redakcyjną pracę. Musisz mi wybaczyć, że z dwóch Twoich próśb spełnię tylko jedną. Prosisz o ocenę wierszy i ich poprawianie. Nadesłanych tekstów literackich nigdy nie poprawiamy, bo kogóż wtedy uznać za ich

autora! Taka praktyka jest zresztą konsekwentnie stosowana w każdej redakcji. Wiersze, choć w skromnej liczbie dwóch, zalecają się niebanalnym tematem i temperaturą uczuć. Jest ok. Teraz potrzeba tylko jednego, rzemieślniczego kunsztu i trudu w dopracowaniu, by mogły być publikowane. Siadaj niezwłocznie do pracy. Musisz odrzucić językowe nawiązania do szlagierów w stylu: *jeszcze na miłość za wcześniej* i spróbować znaleźć takie obrazy i słowa, które Ciebie poruszyły. Na razie idziesz po czyichś śladach, do tego zupełnie niewartych wchodzenia w nie. Czekam bardzo niecierpliwie na Twoje nowe teksty.

■ **Darek B., Toruń** – Życzę powodzenia na maturze i dzięki za list i przesłane wiersze. Dwa z nich drukujemy w bieżą-

cym numerze. Twoje plusy to zwięzłość oraz celne nawiązania, zarówno do popularnych znaków kultury, jak i zaskakujące reinterpretacje słownictwa rówieśników. Proponuję nadesłać większy wybór tekstów, żeby prezentacja na łamach spowodowała wejście w krwiobieg nie tylko młodoliterackiego Pomorza. Zainteresował mnie Twój temat prezentacji naturalnej o diagnozie totalitaryzmu u Andrzeja wiersza w *Ciemności kryją ziemię*. Chętnie opublikujemy rozważania o tym utworze w naszym cyklu *Lektury szkolne inaczej*. Oczekuję więc tekstu.

■ **Joasia M., Bydgoszcz** – Przesłałaś bogaty zestaw wierszy, który pozwala na wnikliwszą ocenę i umożliwia wybór ich do publikacji. Dziś to literacka odwaga, co czynisz, czyli sięganie po for-

my tradycyjne, sprawdzone, niektórzy powiedzą, mocno wyeksploatowane. Jest co chwalić. Uniknęłaś również tej ostatniej zasadki, bo i Twoje rymy to głównie asonanse, a tematyka świeża, oryginalna, czytelnik już po paru wersach wie, że Twoja, indywidualna. Pochwała za szczyptę ironii, którą dodajesz do każdego tekstu. Ta kanapka to prawdziwy hit. Niby drobiazg, a ile znacz! Wymienione wiersze czekają na publikację. W redakcji też czekamy na nowy list z obfitym załącznikiem.

Zygfryd Szukaj  
lystopad@neostrada.pl





# Do anonima list jeden

Nigdy nie pomyślałabym, że życie tak się potoczy. Nie raz, nie dwa na drodze stawały mi jakieś przeszkody, niedogodności losu. Wszystko umiałam pokonać. Zawsze traktowałam problemy jak egzamin, bo co cię nie zabije, to cię wzmocni. Niestety, powoli przestaję wierzyć... I to tylko dlatego, że Ty nie potrafiłeś zrozumieć.

Gdy przyjaźń zamienia się w obojętność... Gdy najważniejsze uczucie Twojego życia znika.

Potrafiacie to zrozumieć? Pojąć? Ja sobie z tym nie radzę, choć niby to takie łatwe. Było i się zmyło. Tak będzie dla mnie lepiej. W końcu się odkochasz. Przecież to tylko JAKIŚ TAM facet – na świecie jest takich miliony. Powiedział, co powiedział, rozstał się, zostaliśmy zwykłymi kolegami. Przecież mamy wspólnych znajomych. Trzeba dać radę. Życie nie jest idealne. Jutro wszystko nabierze kolorów. Nie panikuj. Nie histeryzuj. Nie hiperbolizuj. Nie płacz, weź się w garść. Powoli przestaję wierzyć... I to dlatego, że Ty nie potrafiłeś dać mi szansy.

Jedna chwila. Staralam się być szczera. Naprawdę! Byłeś dla mnie wszystkim. Według mnie nie ma miłości bez przyjaźni. A Ty zawsze potrafiłeś mnie wysłuchać, rozśmieszyć, po prostu być, spędzać ze mną czas. Pokochałam Cię – chcąc czy nie chcąc. Ty tego nie rozumiesz. Nie umiałeś mnie docenić albo... albo doceniłeś za bardzo. Nie wierzę w to, co mówisz. Wcale nie jestem dla Ciebie za dobra, za wspaniała, za mądra, za prawdziwa. Ty też możesz taki być! Mimo że jesteś tak bardzo inny, moje życie bez Ciebie rozsypuje się. Jesteś jak brakujący klocek w układance.

Najgorsze jest to, że Ty tego nie chcesz. Nie potrzebujesz. Nie pragniesz. Nie wiem. A moje serce

i tak należy do Ciebie. (Jaka ja jestem głupia. Dlaczego Ty? Ani bardzo przystojny, ani mądry... przeciętny.) Brzmi to dość sentymentalnie, ale tak właśnie jest. Rozumiesz? Chcę wiedzieć, co robisz, co myślisz. Brakuje mi Twojego głosu, Twojego uśmiechu, zapachu. Wszystko kojarzy mi się ze wspólnie spędzonymi chwilami.

Wspomnienia. Po co one komu? To tylko boli... Gdy patrzysz na świat przeszłością, jak ja teraz. Widzę nas... tu i tu, i tu, i tu. Razem, choć osobno. Ale mimo to szczęśliwi. Zawsze. Mam marzenie. Chcę wrócić do tamtych chwil. Zapłacę każdą cenę...

Miłość. Z mojej strony to była miłość. Oparta na przyjaźni. Wiesz? Nadal mam marzenia i tam gdzie głęboko pali się jeszcze ta mała iskierka nadziei na to, że kiedyś powrócisz z moim pierścieniem, w końcu mnie pocałujesz i powiesz, że żałujesz, kochasz, chcesz, potrzebujesz, obiecujesz. A ja znowu Ci uwierzę. Mam do Ciebie po prostu słabość. I tak to już jest. I pozostanie.

Żyję dniem obecnym. Staram się. Choć czasem te retardacje też są potrzebne. Nie dasz rady wymazać przeszłości. Im wcześniej to zrozumiesz, tym lepiej. A retrospekcje? Patrzysz na to, co dał Ci Bóg, a Ty nie potrafisz czerpać z tego radości! Wtedy to dopiero mam wyrzuty sumienia. Staram się cieszyć z tego, co mnie otacza – wszystko jest na wyciągnięcie ręki. Inni tego nie mają. Doskonale o tym wiem...

Co będzie jutro? Za tydzień? Miesiąc? Rok? Nie wiem... Nie wiem, czego chcę. Z mojego, choć krótkiego, doświadczenia wiem, że nie ma co planować i kalkulować przyszłości, bo Przeznaczenie gra z nami w podchody. Rozkazuje nam i na

karteczkach zostawia zadania, które musisz zrealizować. I na nic Twoje sprzeciwu lub prośby. To ono jest górą, a Ty tylko szukasz. Uczciwa gra może przynieść Ci w końcu znikome korzyści. Jaki z tego wniosek? Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko się starać i życzyć sobie powodzenia.

Miłość. Przyjaźń. Obojętność. Znajomość. Nienawiść. Nie wiem, jakim uczuciem Cię teraz darzę. Nie umiem z Tobą po prostu rozmawiać. Mam do Ciebie żal, że nie mogłeś (nie chciałeś?) mnie uszczęśliwić. Ciągłe się oszukuję, że próbowałeś. I tak mi lepiej. A może nie? Nie wiem. Mówi się, że między miłością a nienawiścią jest bardzo płynna granica. A ja czuję, że się na niej znajduję...

To Twój wybór. Twierdziłeś, że tak będzie lepiej. Ja mogłam żyć tak, jak żyłam. Miałam Cię obok, cierpiałam, ale mniej niż teraz. Nie zrozumiesz bólu, jaki we mnie kiełkuje, z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

Uśmiecham się. Taka już jestem. Staram się być taka jak kiedyś. Jednak, mimo wszystko, wydarzenia z Tobą odcisnęły ślad. Nauczyły czegoś. Przykryły ciemną zasłoną jakiś obszar mojego serca. Po prostu mnie zmieniły – czy tego chcę, czy nie! Żałuję. Dziękuję. Kocham. Nienawidzę. Lubię. Wspominam. Myślę. Tęsknię. Poszukuję. Odpowiadam. Zadaję pytania. Wątpię. (Nie) wierzę. Zmieniam się. Przepraszam.

Takie jest Życie... A ja ciągle wierzę w bajki. I w prawdziwą miłość. Tylko to mi pozostało...

Oliwia Steltmann I. 18



## Kiper od jesieni

Jesień nie jest jak wino. A przynajmniej nie jak jakieś Cabernet Sauvignon z dobrego rocznika.

Każdy jej łyk coraz bardziej drapie podniebienie, uderza do głowy, powoduje mgłę przed oczami i przymrozek w słowach.

Osad z liści powoli opada na dno kieliszka. Patrzę Przez jego pryzmat na słońce, ale nie umiem dostrzec promieni.

Nie udało mi się nigdzie dostać babiego lata. Chyba ktoś mnie uprzedził, wypił, butelkę zostawił potomnym.

Maria Jazdon I. 14

## Współczesny problem

Gdy tak siedzę, myślę o tym, co w oddali... Co na szczycie góry, na ogromnej fali.

O tym, co mądre, a co nieroztropne, o tym, co wielkie i o tym, co małe.

Nagle słyszę dźwięk – cichy delikatny Robi się głośniejszy – głośnie i rozdarty. Nagle szum, nagle wir tych wszystkich przedmiotów, tych wszystkich myśli, tych wszystkich widoków.

Czerwień, fioleto, czerń i granat Piekło – niebo, głośno – cicho, radość – smutek – w tym przepychu, co otacza serce, duszę

Idą, idą ludzie Za nimi podążam, Nie wiem dokąd

Jakże wspaniały ten widok idących, jak pociągający ten świat wirujący!

Lecz kręcić się coraz szybciej zaczynał Szum, hałas nagle męczy, myśli rozchwiane wędrują ku tęczy – co nad tym wszystkim bez sensu góruje.

Czy chwilę ciszy mi podaruje? Jakież tajemne wyjście z tego chaosu, który zamierza się na duszę jak ręka do ciosu?

Ten świat – choć pusty – duszącym się staje myśli moje dusi, serca nie uznaje.

## Kolejny szczebel drabiny życia

Kolejny szczebel życia drabiny tak trudnej do przebycia Radosne twarze składają życzenia – radości, szczęścia, miłości, spełnienia

Za to w mej głowie radości tak mało że z tego, co było, tak mało zostało

Trzeba zmienić bieg, lecz nie wiem, który z wielu odpowiedni będzie Jaki będzie następny rozdział w życia mego księdze? Czy taki, który ledwo można przeczytać, bo po dwóch stronach każdy zasypia? Czy taki, gdzie radość w smutek się zmienia i skroplone wzruszenie we lzy przemienia, które z hukiem pośród ciszy duszy spadają na jej karty i tekst zacierają?

Czy z wypiekami będzie czytany do późnych i cichych godzin wieczornych?

Czy może przez ludzi w białych kitlach na uczelniach studiowany? Albo przez wieki wspominany jako przyczyzna jakiegoś zdarzenia, które teraz świat zmienia?

Lecz na razie jeszcze karty czyste. Wszystko, co przyszłe, tak nieoczywiste! Tak niewyraźne!

Jedno tylko kieruje mną marzenie, by być czymś więcej niż tylko istnieniem

Damian Skawiński I. 20

## Errata do Norwida. Moja piosnka

Od świata, kraju tego, w którym my i oni dzień w dzień walczą ze sobą – o chleb i uznanie; istnieją – a nie żyją, walczą – żeby chronić

Uwolnij mnie, Panie...

Od miasta prze-dzikiego, co i strach przeraża i w dzień, jak słońca, i w noc, gdy światła trwa taniec; zagania i popędza, wolnemu zagraża

Uwolnij mnie, Panie...

Od życia, siebie wreszcie, gdy nadejdzie moment, że zamiast kląć i smucić – pojmę Ich działanie, a zamiast iść – pobiegnę i opuszczę głowę

Uwolnij mnie, Panie.



## Z Wenezueli

Jestem Piotruś Edwardek Blanco-Zuñ. Zawsze mówię, że ja jestem Polak mały. Mam osiem lat. Niedawno, 26 września, miałem urodziny. Urodziłem się i mieszkam w Caracas, stolicy Wenezueli. Jest to państwo położone w Ameryce Południowej. Jak ktoś nie wie, to proszę, niech poszuka na mapie.

# Jestem Polak mały

W wieku trzech lat poszedłem do przedszkola. Wtedy rozpoczęła się moja przygoda ze szkołami. Jedne były lepsze, drugie gorsze. To zależy od tego, jak pani nauczycielka, nazywana tutaj *maestra*, lub

szą czerwone bluzki i granatowe bawełniane spodnie typu dres. A jak ktoś jest w żłobku, to ma żółtą bluzkę! To wszystko jest na bardzo kolorowo!

Chodziłem do różnych przedszkoli i szkół, państwowych i prywatnych.



Ja ze swoją klasą.

pan nauczyciel (*maestro*) traktuje ucznia. Teraz jestem w II klasie szkoły podstawowej. Szkoła podstawowa w Wenezueli trwa sześć lat. Potem jest gimnazjum, które trwa trzy lata i dwuletnie liceum. Po tym okresie nauki można zdawać na studia, bo jest się już *bachillerem*, czyli maturzystą. Dostaje się dyplom zdobycia matury, choć egzaminów maturalnych tak strasznie trudnych jak w Polsce (wiem, bo opowiadała mi mama) tutaj nie ma.

Wszyscy wenezuelscy uczniowie chodzą w mundurkach. Ja mam teraz białą bluzkę (taką jak widać na zdjęciu), typu *chemise* z tarczą szkoły. Do tego noszę ciemnogrnatowe spodnie i pasek oraz czarne buty. Białe bluzki noszą dzieci od klasy I aż do klasy VI, czyli całą szkołę podstawową. Gimnazjaliści noszą niebieskie bluzki, a jasnobrązowe – klasy przygotowujące się do otrzymania tytułu *bachillera*, czyli maturzysty. Przedszkolaki też są umundurowane! No-

W każdej z nich dzień rozpoczyna się porannym apelem. Najpierw odmawia się modlitwę, a potem śpiewa hymn państwowy i wszystkie dzieci rozchodzą się do klas. Byłem w dwóch przedszkolach – jednym państwowym, a drugim prywatnym. Natomiast do I klasy zdałem egzamin w szkole prywatnej, która jest świecką szkołą. Teraz mama zapisała mnie do szkoły znajdującej się najbliżej domu. Jest to szkoła katolicka. We wszystkich szkołach poranne modlitwy różniły się od siebie, ale wszystkie są piękne. Trudno mi wybrać jedną, ale dobrze, zdecyduję się na napisanie modlitwy ze szkoły państwowej, dotowanej przez rząd, gdzie wszystko jest za darmo. Ta szkoła nosi imię Martineza Centeno. Odmawialiśmy najpierw „Ojciec nasz”, a potem było podziękowanie za pożywienie, bo w szkołach państwowych wszystkie dzieci dostają śniadanie: „Gracias Señor por estos alimentos que siempre nos has dado



W królewskim stroju podczas karnawału.

a los niños”. To znaczy: „Dziękujemy Ci, Boże, za ten pokarm, który zawsze dajesz dzieciom”. Potem rozchodziliśmy się do klas, gdzie nam przyniesiono jedzenie.

Teraz uczę się w szkole prywatnej, katolickiej. Też mamy apel i modlitwę, ale śniadanie przynosimy z domu. Tęsknię za szkołą im. Martineza Centeno, bo tam miałem i śniadanie, i komputery, i dużo przyjaciół. Nawet zaprzyjaźniłem się z panią dyrektorką i zastępcą dyrektorki szkoły! Jak będę miał wolny dzień, to na pewno je odwiedzę!

W Wenezueli mówi się po hiszpańsku. Ale ja mówię też po polsku, bo moja mama zawsze do mnie mówiła w naszym języku i chociaż całe życie mieszkam w Wenezueli, umiem pisać i czytać po polsku. Kiedy pojechałem odwiedzić mojego Dziadziusia i Babcię w Lublinie, to oni byli szczęśliwi, że mnie rozumieją, a ja ich. Miałem wtedy cztery i pół roku. Często rozmawiam z Babcią przez telefon. Mówię do niej tak, że ona mnie rozumie. W nauce języka pomagają mi uczestnictwo w Otwartej Szkole, czyli nauka w polskiej szkole on-line, gdzie lekcje nadawane są z Warszawy i realizuje się program polskiej szkoły. W tym roku lekcje jeszcze nie rozpoczęły się w tej szkole. Są jakieś problemy techniczne. Szkoda. Tęsknię już za tą szkołą i za panią Mirką od angielskiego i za moją panią Agnieszką od nauczania wczesnoszkolnego.

Moja mama również korzysta z materiałów dostarczanych nam przez stronę [www.superkid.pl](http://www.superkid.pl), która jest przeznaczona do pomocy uczniom. Mnie się ona bardzo przydaje. Uczę się z niej języka polskiego i matematyki. Tam są różne bardzo ciekawe ćwiczenia. Do wydrukowania, a także on-line. To pomagają mi być Polakiem.

W wenezuelskiej szkole obchodzi się różne święta. Między innymi choinkę i karnawał. W karnawa-

le dzieci przebierają się. Ja w ostatni karnawał przebrałem się za króla Polski! Aż pokazywała mnie telewizja! Również obchodzi się urodziny. Solenizant niesie tort. Urodziny wraz z nauczycielami świętuje się na przerwie, która jest tylko jedna i trwa pół godziny.

Nie wiem, czy wszystko opisałem, ale co mogłoby Was zainteresować. Ale czas już na mnie – jutro muszę iść do szkoły i chociaż ten artykuł pomagała mi napisać mama, jestem bardzo zmęczony. Powiem jeszcze, że w tej wenezuelskiej szkole jestem dobrym uczniem. Mam same dobre stopnie. Dlatego moja mama na zakończenie każdego semestru w miejscu swojej pracy dostaje specjalny dodatek za moje osiągnięcia w nauce. Idziemy wtedy do McDonald's, choć tak naprawdę wołałbym iść do baru mlecznego w Polsce lub jeść ruskie pierożki, które mi raz zrobiła moja babcia Antonina, jak byłem w Lublinie.

Mama otrzymuje POD WIATR. Czyta go na komputerze. Ja się do niej przysiadam i też czytam. Podobają mi się. Umieję czytać po polsku i potrafię wymawiać nawet „cz”, „rz”, „sz” i inne znaki, o których ludzie myślą, że są trudne, ale to nie jest prawda. Trzeba tylko zapamiętać regułę i nauczyć się. Czasem pomagam mamie przesyłać POD WIATR naszym znajomym.

Pozdrawiam wszystkich czytelników pisma oraz autorów – moje starsze koleżanki i kolegów. Pozdrawiam po prostu całą redakcję. Niech Bóg ma Was w swojej opiece. Tak się mówi. Nauczyłem się tego na lekcji religii, którą mam w nowej szkole. A odpowiada się: amen. Teraz ja też jestem redaktorem! Mam nadzieję, że podoba Wam się mój artykuł.

Wasz korespondent z Caracas  
**Piotruś Edwardek Blanco-Zuñ I. 8**  
fot. Justyna Zuñ-Dalloul



# My z Alaski



**Witam najserdeczniej i pozdrawiam polską młodzież, autorów PodWiatr.pl i wszystkich czytelników zainteresowanych Polonią na Alasce. Polacy są podobno wszędzie na świecie – my jesteśmy naszym polskim „Przystankiem Alaska”.**

**A**laska to 49., największy powierzchniowo stan USA, przyłączony do Unii stosunkowo niedawno, bo w 1959 roku. Zima trwa tutaj od czterech do pięciu miesięcy, a temperatura powietrza w ciągu roku waha się od sporadycznie -20 stopni C zimą do 25 stopni C latem. Polacy na Alasce pojawili się już w XVIII wieku, a jednym z pierwszych amerykańskich urzędników federalnych Alaski był – pochodzący z Wielkopolski – Włodzimierz Krzyżanowski.

W historię Alaski często wpisywali się Polacy. Wpisują się również w jej współczesność.

Od lat 70. XX wieku działa na Alasce Polski Klub, upowszechniając i kultywując polską kulturę wśród wszystkich grup etnicznych w całym stanie. Jesteśmy organizacją samorządową, bez zysków i utrzymujemy się jedynie ze składek członkowskich. Organizujemy wiele dorocznych imprez, koncertów, spotkań, wieczorków i wystaw artystycznych dla publiczności stanowej i pozastanowej. Charakteryzują je przede wszystkim elementy narodowo-patriotyczne, a także edukacyjno-informacyjne.

Najpopularniejsze inicjatywy Klubu to między innymi: Bożonarodzenia Wigilia z udziałem Ks. Arcybiskupa polskiego pochodzenia – czasem także polskiego kapłana, Mikołajki, ostatki, niekiedy sylwestry, Polka Party, kuligi, letnie pikniki, grzybobrania, wycieczki rowerowe i inne wydarzenia o charakterze rozrywkowym. Wszystkie imprezy charakteryzuje polska atmosfera. Większość z nich odbywa się przy muzyce i winie z dostatnim i smaczkowym jadem. Imprezy w celu informacyjno-edukacyjnym organizujemy z uwzględnieniem wszystkich grup wie-



„Poznaj świat w Anchorage” – impreza jednocząca grupy etniczne w stolicy stanu.

kowych i etnicznych. Imprezy w celu czysto towarzyskim i z natury dorosłe (sylwestry) takich wymogów spełniać nie muszą. Wiele z naszych przedsięwzięć jest dwujęzycznymi, by ich charakter i klimat mogła poznać publiczność mówiąca tylko po polsku lub tylko po angielsku.

Tutejsza Polonia bierze również udział w licznych dorocznych lokalnych imprezach międzynarodowych, organizowanych dla zjednoczenia obecnych tu grup etnicznych. W poprzednich latach Polski Klub dumnie reprezentował barwy narodowe w pochodach podczas amerykańskiego Święta Niepodległości. Polonia jak również i cała Alaska z dumą i radością gościła naszego śp. Rodaka, Papieża Jana



Pawła II. Dla uczczenia tego faktu największe miasto, Anchorage, w swoim centrum ufundowało pomnik z Jego popiersiem. Odejście Papieża godnie i ze wzruszeniem uczciliśmy mszą żałobną w tradycyjnych kostiumach polskich i z udziałem Rycerzy Kolumba w katedrze Świętej Rodziny. Gościliśmy reporterów z TVP i TVN24, ze słynnym Marcinem Wrońskim, których pobyt uwieńczony został zaprezentowaniem polskiej publiczności progra-

maja. Dodam, że nasz Klub prowadzi również działalność społeczną w mieście Anchorage. Adoptując dwa lata temu odcinek jednej z głównych szos miejskich, Minnesota Dr., sprzątamy trzy razy w roku w porze letniej ten bardzo obszerny i ruchliwy sektor. Poprzez każdą z imprez organizowanych tutaj, w dalekim od Kraju miejscu, upowszechniamy wiedzę o Polsce, z dumą kultywując polskie tradycje. Wzbogacamy tym wiedzę o naszych korzeniach lokalnej społeczności miejskiej i stanowej, a także gości i turystów, którzy tutaj przybywają z innych stanów i krajów.

Od pewnego czasu oryginalnym łącznikiem z krajem stało się Wasze czasopismo – najpierw docierało do nas w wersji papierowej, obecnie w formie elektronicznej, łatwiej i szerzej rozpowszechnianej na całym świecie. W Pod Wiatr.pl przeczytaliśmy wspaniałe artykuły początkujących autorów. Młodzi przyjaciele – podziwiam Waszą twórczość i talenty. Oby tak dalej! Nam, tutejszej Polonii, miło jest czytać Wasze reportaże i komentarze. Poprzez interesujący przekaz wiemy, co dzieje się w środowisku młodzieżowym w kraju, poznajemy Wasze aspiracje, tęsknoty, marzenia i dokonania. Dziękujemy za to.

W imieniu członków naszego Klubu i polskich czytelników POD WIATR na Alasce – serdecznie pozdrawiam młodych autorów i ich dorosłych mentorów. Cieszę się, że korzystając z Waszych łamów, miałam zaszczyt i możliwość podania czytelnikom czasopisma na świecie informacji o tym, że na Alasce są Polacy, mają swój Klub i przy każdej okazji z pietysmem krzewią tutaj wiedzę o Kraju: jego historii, tradycji i kulturze.



**Monika Schneider**  
Prezes  
Polskiego  
Klubu  
na Alasce

Zdjęcia z archiwum Klubu Anchorage, Alaska, USA

mu o Alasce i tutejszej Polonii. Dwa lata temu odwiedzili Alaskę młodzi Polacy, aby zdobyć szczyt Mount McKinley – najwyższy punkt Ameryki Północnej. Zdobyli go, a my, mieszkający tutaj Polacy, dumnie i z radością przyjęliśmy wiadomość o ich wyczynie. Młodzi alpinści odnaleźli nas przez Internet, a po swoim wielkim osiągnięciu bawili się z nami na polskim pikniku. W roku 2010, na terenie Alaski, w Anchorage, po raz pierwszy odbyły się wybory prezydenckie dla mieszkających tu Polaków, w których również uczestniczyli polscy turyści.

Doniosłej rangi wydarzeniem, podczas którego godnie reprezentujemy swoją polskość, są obchody rocznicy uchwalenia polskiej Konstytucji 3



# Kocham podnoszenie ciężarów

Rozmowa z Adrianem Zielińskim – zdobywcą złotego medalu w podnoszeniu ciężarów na igrzyskach olimpijskich w Londynie.

■ **Masz zaledwie dwadzieścia trzy lata i już takie sukcesy na swoim koncie. Jak rozpoczęła się Twoja przygoda ze sportem?**

– Miałem siedem lat, gdy rozpocząłem przygodę z ciężarami. Na samym początku nie wiedziałem, że będę uprawiał tę dyscyplinę. Traktowałem to jako formę spędzenia wolnego czasu po lekcjach. W wieku szesnastu lat podjąłem świadomą decyzję o tym, że zawodowo będę dźwigał.

■ **Siedem lat? Skąd w tym wieku czerpałeś motywację do intensywnych ćwiczeń?**

– Myślę, że najlepszą motywacją są odnoszone sukcesy oraz chęć bycia najlepszym. Rywalizacja z innymi daje ostrego „kopa”. [śmiech]

■ **Mroczka nie należy do dużych miast, nazwałabym ją – małym miasteczkiem. Czy dzieje w mniejszych miejscowościach mają mniejsze możliwości rozwoju talentu sportowego?**

– Uważam, że nie ma różnicy w tym, gdzie mieszkamy: w małym czy dużym mieście. Wszędzie start w przyszłość jest tak samo trudny, a wszystko zależy tylko od twojego uporu i determinacji. Musisz wiedzieć, czego chcesz od życia, postawić sobie cel i do niego dążyć. Z drugiej strony, im trudniejszy start, tym większa satysfakcja z osiągniętych wyników.

■ **Myślałeś kiedyś o tym, że zostaniesz złotym medalistą igrzysk olimpijskich?**

– Nie myślałem o tym. Z roku na rok, stopniowo, odnosiłem coraz większe sukcesy, miałem więc coraz większe oczekiwania względem siebie i kolejne marzenia. Pierwsza myśl o medalu pojawiła się w 2010 roku.



Mistrz

rys. Julia Sobocka I. 19

■ **Jak duże znaczenie ma dla sportowca wsparcie bliskich mu osób?**

– Podnoszenie ciężarów uprawiam z moim bratem Tomkiem. Razem jest dużo łatwiej, bardzo się wspieramy w tym, co robimy. W samym Londynie wsparcie bliskich osób nic nie dawało, podczas startu byłem tylko ja i sztanga. Natomiast wcześniej, w trakcie przygotowań, takie

wsparcie jest bardzo ważne. Najbardziej cenię to, że byli wyrozumiali, ponieważ z osobą przygotowującą się do igrzysk olimpijskich jest bardzo trudno wytrzymać. [śmiech]

■ **Przed zawodami ciężko z Tobą wytrzymać?**

– Sport wymaga wyrzeczeń i poświęcenia. Często nie ma mnie w domu, mam mało czasu dla rodziny. Niezmiernie trudno jest połączyć życie osobiste z częstymi treningami, wyjazdami na zawody, promowaniem swojej dyscypliny. Właściwie to siłownia jest moim drugim domem. [śmiech]

■ **Jak wyglądają przygotowania do zawodów?**

– Każdy dzień wygląda tak samo. Wszystko wykonuję według określonego schematu, dokładnego planu, który wypełniam w trakcie całych przygotowań. Ostatnie pół roku przed igrzyskami przepracowałem bardzo ciężko. Bywało, że dzień nie przetrzymałem nawet dwadzieścia pięć ton, przez co nabawiłem się kilku kontuzji. Ale – jak widać – nie przeszkodziły mi one w zdobyciu złota. Na szczęście teraz mam czas, by odpocząć i zregenerować się.

■ **Zdobyłeś pierwsze w tegorocznych igrzyskach złoto dla Polski. Czujesz się „bohaterem narodowym”?**

– Nie czuję się bohaterem narodowym. Stojąc na najwyższym podium, spełniłem swoje największe marzenie. Zrobiłem to zarówno dla siebie, jak i dla Polski.

■ **Polski Związek Podnoszenia Ciężarów nie wyraził zgody na Twój wyjazd do Osetii. Jednak – mimo zakazu – pojechałeś tam na treningi, narażając się na ewentualną komisję dyscyplinarną. Krążyły plotki o Twoich planach zmiany obywatelstwa. Mówisz, że medal zdobyłeś również dla Polski. A zatem – pomimo konfliktu – nie zamierzasz zmieniać obywatelstwa?**

– Nie, nie planuję zmiany obywatelstwa. Jestem Polakiem, mam polski organizm. Trenuję dla siebie, nie dla Związku. Jestem dorosły i wiem, czego chcę od życia. Wyjazd do Osetii był całkowicie przemyślaną decyzją, która – jak widać – zaowocowała złotem.

■ **Igrzyska przeszły do historii. Co masz teraz w planach?**

– Wyleczyć stany zapalne, przeciążeniowe. Odpocząć. Jeśli chodzi o starty, to w przyszłym roku w październiku odbędą się mistrzostwa świata w Warszawie. Jesteśmy organizatorami, więc wypadałoby zdobyć medal.

■ **Jak spędzasz czas, kiedy nie trenujesz?**

– Sport to nierozdzielna część mego życia, a podnoszenie ciężarów jest dla mnie całym życiem. Kocham tę dyscyplinę. Kiedy nie trenuję – śledzę wyniki innych naszych sportowców. Poza tym spędzam czas z rodziną. Lubię też muzykę, dobry film i motoryzację.

■ **Dziękuję za rozmowę.**

Rozmawiała Patrycja Szopiera I. 20

**Adrian Zieliński** – złoty medalista XXX Igrzysk Olimpijskich w Londynie w podnoszeniu ciężarów w kategorii do 85 kg. Urodzony 28 marca 1989 roku w Nakle nad Notecią. Mieszkaniec Mroczy (woj. kujawsko-pomorskie).



Podczas przedolimpijskich treningów...

foto. Jarosław Pruss, „Gazeta Pomorska”



# 19 lat z ekologią w POD WIATR

Od pierwszego wydania drukowanego POD WIATR i teraz, poprzez jego formę elektroniczną, angażujemy się w wielką akcję chronienia i pomnażania piękna świata natury. Pragniemy i to pragnienie przekuwamy w czyn – aby konwencja czasopisma społeczno-kulturalnego tworzonego przez młodzież współbrzmiała z ideą harmonijnego współżycia człowieka z przyrodą, ilustrując wspólną troskę pokoleń o jej przetrwanie.

Tematyka proekologiczna od początku istnienia pisma nie ograniczała się do kolejnych wydań „Ekologii bez granic” prezentującej na szerokim forum międzynarodowym cenne przedsięwzięcia proekologiczne szkół bydgoskich, toruńskich, chełmińskich i centrów edukacji przyrodniczej. Przyroda stała się tematem licznych reportaży i fotogramów publikowanych na innych stronach POD WIATR. Tworzyła – mimo ostrości sądów i opinii – kuszącą wizję natury wolnej od „cywilizacji bez granic”, naturalnie pięknej i zjednoczonej z człowiekiem.

Możliwość wypowiadania się w ten sposób zawdzięczamy talentom naszych autorów i autorów oraz wsparciu instytucji i osób profesjonalnie związanych z ochroną środowiska naturalnego. Doceniły one wagę obserwacji i poglądów prezentowanych na naszych łamach: niekiedy romantycznych i być może utopijnych, wywodzących się wszakże z bezkompromisowej wrażliwości, znamiennej dla człowieka u progu dorosłości.

W urodzinowym wydaniu POD WIATR – wersja elektroniczna kontynuuje jego historię i dokonania – przypominamy niektóre artykuły sprzed lat dla „RACHUNKU SUMIENIA”. I międzypokoleniowej refleksji skupionej wokół pytania: co jeszcze powinniśmy zrobić dla ocalenia naturalnego piękna świata?

Redakcja

Strony zilustrowała Patrycja Ornafel I. 17.



## Przyroda i człowiek

Ostatnio dużo mówi się o ochronie środowiska. Radio, telewizja, gazety rozpaczliwie wołają: „Chrońcie przyrodę, chrońcie swoje naturalne środowisko, bo...”. No właśnie, bo co? Padają ostrzeżenia, że przyroda zginie, że ludzie zniszczą swoją planetę i niedługo Ziemia przez dewastacyjną działalność człowieka stanie się tworem podobnym do Księżyca. Bez atmosfery, bez życia, pusta i naga.

To nie fantazja. To prawda. To prawda, że człowiek niszczy swoje otoczenie, że giną ryby w rzekach, pisklęta w gniazdach, rośliny na ziemi i w wodzie. Różne ruchy „ochroniarzy” przekonują nas, że przyrody nie powinno się zmieniać. Postulują, żeby wielkie obszary Ziemi pozostały nietknięte przez człowieka. „Najpiękniejsza jest przyroda w stanie naturalnym” – głoszą.

A co to właśnie znaczy stan naturalny? Już słyszę głosy opisujące raj, w którym drzewa, krzewy, kwiaty rosną same, tak jak chcą, zwierzęta żyją na wolności, a człowiek „nie wtrąca się” do biegu wydarzeń. Tak, ale człowiek gdzieś musi żyć – oponują inni. I tu rodzi się problem: czy człowiek jest z natury wrogiem przyrody? Mam nadzieję, że nie, chociaż znajdują się tacy, którzy twierdzą inaczej. Co robić? Czy oddzielić człowieka od przyrody? Stworzyć „wyspy cywilizacji”, gdzie

na betonie i asfalcie stałyby cudowne produkty *homo sapiens*?

A może inaczej – ustanowić rezerwy przyrody ze strefami buforowymi, w których działalność ludzi ograniczałaby się tylko do tych stref, centrum zaś pozostałoby nienaruszone?

NIE! Przyroda, do której i my należymy, nie jest maszynką. Nie można jej rozmontować i jedne elementy zastępować innymi. Człowiek MUSI z nią WSPÓLISTNIEĆ!

Najlepszym chyba rozwiązaniem jest WTOPIENIE cywilizacji w przyrodę tak, jak to zrobiono w Alpach Szwajcarskich. Obok dziewiczych terenów znajdują się tam wioski, farmy, fabryki, pola uprawne. Sądzę, że do takiego współistnienia ludzie powinni konsekwentnie dążyć, mając ciągle na względzie słowa Jamesa Lovelock'a: „To nie Ziemia jest krucha, lecz my sami. Przyroda zniosła klęski gorsze niż te, które myślny na nią sprowadzili. Zadane z naszych działań nie zniszczy przyrody. Możemy za to łatwo zniszczyć siebie”.

Piotr Kowalski I. 16  
POD WIATR 5/1994

James Lovelock – niezależny naukowiec, stworzył teorię Gai, którą przedstawił w książce pt. „Wielki Gai. Biologia naszej planety”. Mówi ona o Ziemi jako systemie samoregulującym się na wzór organizmów żywych.



## Apokalipsa

**T**ATRY. Zniewalające piękno graniczące z bezwstydem natury, która w owym dziele przeszła samą siebie! Użyła wszystkich sztuczek: unikalna, bujna roślinność i odkryte skały, przyjemna zieleń i czerń grozy, miękka murawa i niebezpieczne żleby... przestrzenne hale oraz gąszcz lasów. Wszystko w idealnej harmonii i... chaosie zarazem. Mistrzostwo kompozycji! Nagie, ostre granie nierzadko przybrane delikatną mgiełką są jak piękna dziewczyna odziana tylko w jedwabną bieliznę... A całość opleciona śniegiem niczym miłosnym uściskiem, potem staje się wyzwaniem, dla niejednego obiektem pożądania!

Przetarłam oczy, bo chociaż jest bezchmurny dzień, góry ledwie widać... Zdają się być jakieś przygnębione: oddaliły się, zmalały, uleciały gdzieś wszystkie radośne barwy... Idę jak zawsze im naprzeciw, lecz po drodze miast pozdrowień przechodniów – apostołów natury, słychać zewsząd szyderczy śmiech „festyniarzy” z walkmanami na uszach, kiwających się w burzącym spokoj rytmie. Ich tępe twarze mnożą się z minuty na minutę i zalegają coraz mniej widoczne zbocza. Zaślepieni pędzą do ołtarza świętości, lecz nie po to, aby zaznać duchowego ukojenia. Plują wściekłą pianą, a ostrymi pazurami zdzierają szaty ostanające piękno... i biorą, biorą jak najwięcej z satysfakcją zostawiając tłuste plamy na aksamicie delikatności... Wyją przeraźliwie, bo im ciągle mało i mało... Zezłoszczeni porywają leśnych zakładników i tresują oglupiałe zwierzęta, by nasycić się widokiem bezradnych, proszących o litość, cierpiących głód.

I nagle! Suchy trzask przeszył osłupiały bezkres nieba. Zatrzęsło światem,

i już przez chwilę zdawało się, że to granity pokazały swój gniew. Zaświtała nadzieja. Wielkim płomieniem wybuchł żarliwy obraz z wczesnego dzieciństwa, gdzie człowiek – robaczek pokornie chylił czoła u progu potężnej góry. Z ciężą i bojaźnią prosił o gościnność, o pozwolenie oczyszczenia duszy w wartkiej wodzie potoku, o namaszczenie sakramentem świeżości, o rozmowę z dostojnym żywiołem milczenia. Lecz płomień zgwał. Ten niegdyś pokorny dialog już dawno przekroczył granicę farsy. Masowe świętokradztwo!

Zachłystuję się tumanami kurzu kołtującego się za pędzącym korowodem i podnoszę kamieniem zrzucane jeden za drugim. Niczym Syzyf pcham do góry sporniewierane relikwie – tam gdzie ich miejsce. Wściekłe hieny patrzą jak na szaleńca, depcząc z furii po palcach rąk ufnie zwróconym ku szczytom. Tuż za lawiną płaczących skał, rykiem wylewa się potok puszek po konserwach i napojach chłodzących. Dudniąc złowrogo, wprawia w drżenie niewzruszoną dotąd potęgę... I puściły żleby niczym wody na wiosnę. Porywając piargów stożki dzwonią na alarm i suną na dół wygnane ze swego siedliska... Zmęczone kosodrzewiny płaczą ołowiem, zioną benzynowym bólem. W rozpacz obrywają się skłębione chmury... Ale to nie deszcz – to kwas siarkowy! Wzera się głęboko w grunt i wypala tchnienia ostatki...

I runęła świętości potęga! Zdeptana dusza ogromu zapłakała wstydem, jak szloch ojców, gdy przestaje być autorytetem dla swoich dzieci... I nie widać już nic! Przedwczesna APOKALIPSA...

Agnieszka Maciejewska I. 16  
POD WIATR 5/1994

## Wybieraj!

Ziemia zabudowana, pokryta asfaltem, zajęta przez fabrykę i drogę, zalana wodą i zasypana odpadami przemysłowymi – to ta, na której nic nie wyrośnie. Kiedy będą chcieli zalać betonem otoczenie Twojego domu, zapytaj – co dostaniesz w zamian? Gdzie będzie rośla trawa, kwiaty i krzewy, które służą Twojemu zdrowiu i samopoczuciu. Nie daj sobie zabrać bez słuszných racji zieleni, Twoich płuc, płuc Twojego osiedla i miasta. A jakie to są słuszných racje? Wygoda czy zdrowie? Wybieraj!



# Recepta na zdrowie

Sposób, w jaki technologie wymyślone przez człowieka wpływają na przyrodę, staje się od dawna widoczny. Jest dla niej coraz dotkliwszy, coraz bardziej bezlitosny. Niekiedy wydaje nam się, że apele i akcje zmierzające do ocalenia naturalnego piękna świata rekompensują ponoszone straty. Że obrońców jest więcej niż niszczycieli. Może istotnie jest ich więcej, lecz o wiele za mało, by poruszyć sumienia właścicieli wielkich concernów i wielkiego kapitału. Wycinane w pień lasy amazońskie to tylko jeden z przykładów bezsilności obrońców środowiska naturalnego. W jakże odmienny sposób przyroda odwzajemnia się człowiekowi za zadane ciosy... Mało o tym mówimy, piszemy. Ze wstydu czy też z braku wiedzy?

**„Natura uzdrowia – lekarz tylko czuwa”** – oto maksyma dawnych medyków. Oni znali i wykorzystywali zalety wpływu natury na nasze zdrowie. Wiedzieli również, że poprzez własne, świadome nastawienie, uwagę, zaangażowanie człowiek może wzmocnić docierające do niego uzdrawiające sygnały. Spróbujmy skorzystać z tych doświadczeń.

Nie jest przypadkiem, że kiedy ogarnia nas zmęczenie, gdy jesteśmy najzwyczajniej przybici, zestresowani – wybieramy się na spacer do parku lub do lasu. Wśród drzew i krzewów odzyskujemy spokój, relaksujemy się, wypoczywamy. Współczesne badania naukowe dowodzą, że odgłosy przyrody działają kojąco na nasz system nerwowy. Szum liści, deszczu, fal morskich tworzy sferę największej wrażliwości słuchu człowieka. Tym właśnie nauka tłumaczy uczucie spokoju i równowagi wewnętrznej płynące od dźwięków natury. Jeśli jej liczne bodźce koją psychikę, uspokajają pracę mózgu, ograniczają dopływ stresujących sygnałów, to tym samym ułatwiają pracę organizmu, regenerują go, sprzyjają jego samoregulacji wewnętrznej.

Najprostszym ćwiczeniem, dość silnie działającym, jest emocjonalne przeżywanie piękna przyrody, łagodne poddawanie się urokowi pola, lasu, łąki. Dobroczynny wpływ mają na człowieka drzewa, zwłaszcza brzoza, która nadzwyczaj korzystnie promieniuje. Brzoza posiada silną własną bioenergię. Kilkanaście minut spędzonych pod drzewem, objęcie na chwilę ramionami jego pnia – bardzo dodatnio wpływa na człowieka. Regeneruje

jego siły. Zieleni lasu, parku uspokaja i jest nieporównywalnie zdrowsza niż cudowne – jak głoszą reklam – tabletki tonizujące.

W niektórych ośrodkach sanatoryjnych i terapeutycznych na świecie, zwłaszcza w Azji, bardzo ochoczo korzysta się z pomocy środowiska naturalnego. Oprócz przeróżnych sposobów kontemplacji przyrody – stosuje się oryginalne „środki nasenne” w postaci odtworzonych miarowych dźwięków natury, szumu deszczu, morskich fal. W Japonii proponuje się pacjentom słuchanie przez telefon... głosów ptaków na tle sygnałów natury.

W różnych technikach relaksacyjnych, wywodzących się często z Dalekiego Wschodu, dużą wagę przywiązuje się także do ćwiczeń wyobraźni. Mogą odbywać się one na wolnym powietrzu; chodzi wówczas o wyłowienie wszystkich dźwięków dochodzących z otoczenia, a także takich bodźców jak podmuch wiatru, ciepło słońca, zapach traw, kwiatów, drzew... Ćwiczenie wykonuje się z zamkniętymi oczami. Wspaniałe efekty daje powrót w wyobraźni do miejsc w przyrodzie, które silnie zapadły nam w pamięć, które łączymy z radosnymi wspomnieniami, przeżyciami.

Do terapii proponowanej przez przyrodę nie potrzebujemy recept ani wystawiania w kolejkach do lekarza. Wystarczy kilkugodzinne oderwanie się od cywilizacyjnego chaosu, ekranu telewizyjnego, komputera i pogrążenie nam w przyjaznej atmosferze parku lub lasu.

Korzystajmy z dobrodziejstw natury. Często, jak najczęściej. Zwłaszcza teraz, gdy wielu z nas staje przed maturą, trudnymi wyborami przyszłości, w obliczu różnych stresogennych zjawisk, dramatycznych przeżyć osobistych... To lepsze niż złudna ucieczka w narkotykowe halucynacje lub alkoholowe otumanienie. Nie zapominajmy jednak, że leczące naszą psychikę i organizm środowisko naturalne kieruje w naszą stronę ograniczoną dobroć. Jej granicę wytyczamy my sami. Jeśli wobec przyrody okażemy się egoistami, samolubnymi dziećmi XXI wieku, a niekiedy katami – dobrodziejstwa natury wspominać będziemy jedynie na kasetach wideo.

**Tomasz Bagiński I. 21**  
POD WIATR nr 5/2001



## Być w ciszy

Czy jest coś przyjemniejszego dla ucha od ciszy? Często korzystam z przywileju BYCIA W CISZY. Zakładam sobie na uszy słuchawki od walkmana i słucham... ciszy. Spróbujcie tego eksperymentu, gdy do szczęścia będzie wam potrzebna głuchej na odgłosy świata samotności. Jest fajnie. Chociaż na kilkanaście minut. Nie słyszysz wtedy pralki, wiertarki, telewizora, radia i kłótni rodzinnej na parterze. Zamykasz oczy i cały pogrążasz się w ciszy.

Od dziecka musimy tolerować hałas. My, to znaczy – miłośniczki, bo ludziom ze wsi raczej on nie dokucza. Wystarczy wyjść na centralne ulice wielkiego miasta, aby otrzymać dawkę 100 i więcej decybeli. A więc tyle hałasu, ile zagraża naszemu zdrowiu. Gdy przekroczona jest dawka 120 decybeli, wszystkie organy człowieka – od krążenia krwi, po wzrok, układ trawienny, mózg – są w szoku.

Przeczytałam w jednej z książek, że uderzenie 180 decybeli może spowodować śmierć człowieka. Jestem ciekawa – ile hałasu wytwarza aparatura nagłaśniająca dyskotekę? Przeczytałam także, że nasz ukochany (jeżeli kończy lekcje!) dzwonek wytwarza natężenie dźwięku wielkości 110 decybeli. Krzyk dzieciaków podczas przerwy lekcyjnej w szkole

podstawowej, „będący formą wyładowania psychicznego” – 90 decybeli. To znaczy – sięga górnej granicy dopuszczalnego hałasu w zakładzie przemysłowym!

Czy możemy uchronić się przed hałasem? Pewnie – nie. Przynajmniej dopóki wydaje się, że NAM nie szkodzi. Naukowcy doradzają sadzenie w hałaśliwym mieście jak najszerzych pasów zieleni. To właśnie zieleni jest najskuteczniejszą ochroną przed falą hałasu. W miejscowości obsadzonej pasem drzew przez każde 30 metrów „zalesienia” fala hałasu słabnie o 10 decybeli. Niestety, w naszych miastach drzewa i zieleni wypierają coraz skuteczniej parkingi, supermarkety, betonowe osiedla. Dlaczego z tym się zgadzamy? Dlaczego dorosli i my, młodzież, nie walczymy o zieleni na naszych ulicach?! To przecież jedna z najważniejszych recept na głuchotę.

Mój dziadek uznał, że z hałasem należy walczyć „od maleńkości”, to znaczy – już w szkole. Należy dać panu wóznemu ręczny dzwonek. Podobno dawno temu słyszał go było w całym budynku, nikogo nie denerwował i nikt od niego nie ogłuchł. Drobną rzeczą, a tyle w niej dobrodziejstwa.

**Agata M. Kolanowska I. 18**  
POD WIATR nr 3/1998

## Mój betonowy świat

Tam, gdzie mieszkam, wszystko jest geometrycznie określone i skończone. Wszystko ma swój prosty i nieskomplikowany odpowiednik w kształcie i formie. Betonowe chodniki rozwinięto na zieloną trawę niczym szare dywany: monotonne, zimne, nieczułe. Nie mają one tej nieskromnej delikatności i wyuzdanej subtelności hotelowych dywanów. Domy zaś wyrastają z podłoża nagle i niespodziewanie jak skały na równinie i straszą tysiącem oczu pustych i bezdennych.

Zal mi ich. Ktoś spędził je tutaj i zgromadził chyba w jakimś określonym celu, a może tylko na chwilę? Zatrzymano je tutaj, a później popędzi się je dalej?

Zdają się być martwe przez większość dnia. Tylko o świcie wypływają z siebie niedospanych ludzi, by wieczorem wchłonąć ich na powrót.

Dzisiaj znowu padało. Chodniki pokryła warstwa błota i porzrucanych śmieci: ludziom zdaje się to być obojętne. Przechodzą, jak zwykle, ze spuszczone-

mi głowami lub wyrazem twarzy niedającym odczytać się jako radosny i szczęśliwy. Woda splywa rynnami niczym krew w żyłach...

Później dom znowu jest szary i cichy, a przecież chciałoby się mieszkać gdzieś, gdzie chodniki pokryte byłyby zieloną trawą nieginącą pod ciężarem moich stóp. Domki zaś, pyzate jak lalki, nabrzmiały trochę i nieskromne w swej korpulentności, pokryte byłyby czerwoną szminką dachówek, a okna zniknęłyby za powiekami okiennic.

Chciałabym, aby przed domem rosły drzewa potężne jak stalagmity albo martwo-żywe posągi wyciągające liściaste dłonie ku niebu z prośbą o deszcz. Na nich przysiadłyby upadłe anioły, które – zbuntowawszy się – zostałyby ptakami. Ich anielski głos napelniałby mnie pokorą i spokojem, ciszą, której brakuje mi w moim betonowym świecie.

**Magdalena Białka I. 15**  
POD WIATR nr 5/1994





# Nie trać czasu – zbieraj chwile tego warte

Dostojnym „Gaude Mater”, wykonanym z maestrią przez Chór Żeński „Primo” Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 pod dyrekcją dr Moniki Wilkiewicz – Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie inaugurowały kolejny rok swojej historii. Historii, która rozpoczęła się w 1992 roku i trwa nadal ku pokrzepieniu serc mentorów nastoletnich pasjonatów dziennikarstwa. To ich nauczycielska zasługa, że w prasie, radiu i telewizji coraz częściej pojawiają się nazwiska wychowanków. Zasługa jednak największa tkwi w uczniach, bo zdecydowali się kiedyś na wyrzeczenia i ciężką pracę, by swój talent oszlifować.



**P**artnerstwo mistrzów i uczniów to jeden z filarów sukcesu i popularności, którymi cieszy się od lat „bydgoska szkoła talentów dziennikarskich”. Ddocenił to wicewojewoda kujawsko-pomorski **Zbigniew Ostrowski** – honorowy gość uroczystości (zdj. 1). Niedgdy dziennikarz radiowy Rozgłośni Polskiego Radia Pomorza i Kujaw przypomniał początki działalności Warsztatów i ich drogę do prestżu i popularności. W swoim wystąpieniu zwrócił uwagę, że w opinii czytelnika, słuchacza i widza zawsze jest w cenie dziennikarstwo kompetentne i rzetelne. Do takiej roli przygotowują, zdaniem wicewojewody, bydgoskie Warsztaty Dziennikarskie. Ze swoim profesjonalizmem i niepowtarzalnym klimatem przyjaźni i kultury trafiają od

lat w sedno oczekiwań utalentowanych młodych ludzi.

Uznanie dla licznie zgromadzonych pasjonatów dziennikarstwa z gimnazjów, szkół ponadgimnazjalnych, a nawet ze szkoły podstawowej (zdj. 2, 3), w imieniu władz miasta i Wydziału Edukacji Urzędu Miasta Bydgoszczy, wyraziła **Magdalena Buschmann** – kierownik Referatu Organizacji Oświaty (zdj. 4). Powiedziała: „Postanowiliście rozwijać takie swoje zainteresowania, które polegają na kształceniu umiejętności kontaktu z innymi osobami, z czytelnikami, widzami, słuchaczami. Zgłębiacie zasady i tajniki komunikacji między ludźmi w sposób wszechstronny, zarówno poprzez słowo, jak dźwięk i obraz. Chcecie mówić do innych, ale równocześnie

chcecie nauczyć się słuchać tego, co oni mają wam do powiedzenia. Życzę sukcesów na tej drodze. Wiem, że najważniejszym sukcesem będzie satysfakcja, że wasze artykuły, reportaże, audycje są czytane i odbierane. To jest prawdziwa radość dla autora i jestem pewna, że tej radości będziecie doświadczać”.

Chętnych do poznania abecadła dziennikarskiego było tradycyjnie wielu: z Bydgoszczy, Kujaw, Pomorza i Wielkopolski. Po sprawdzenie pisemnym, preferującym między innymi zdolność wyrastania nad przeciętność w opisywaniu i komentowaniu rzeczywistości oraz wskazywaniu warunków „rozumnego życia”, XXI edycję bydgoskiej przygody z mediami rozpoczęły 103 osoby.

To do nich adresował swoje wystąpienie **Mirosław Twaróg** – twórca i szef Warsztatów (zdj. 5). „Żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem – zacytował słowa Ryszarda Kapuścińskiego. – Jedyne dobre człowiek usiłuje zrozumieć innych, ich intencje, ich wiarę, ich zainteresowania, ich trudności, ich tragedie. I natychmiast, od pierwszej chwili, stać się częścią ich losu”. Kontynuując ten wątek, mówca dodał, że dobry człowiek jest jak małe światełko. Wędruje poprzez mroki świata i na swojej drodze zapala zgaszone gwiazdy, przywraca im blask. Tym blaskiem jest poczucie godności, radość życia i wiara w drugiego człowieka.

Mówiąc o poszukiwaniu przez młode pokolenia sensu życia, twórca Warsztatów zauważył, że odpowiedzi na egzystencjalne pytania nie musi znać tylko wiatr. Można je samemu poznać poprzez trudną, ale wytrwałą drogę do spełnienia

marzeń. Na koniec przypomniał credo Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich i wezwał, by jego respektowanie stało się przyjemnością i mądrością dla każdego uczestnika XXI edycji. Brzmi ono od lat niezmiennie: „Nie trać czasu, zbieraj Dzisiaj wszystkie chwile, ponieważ są tego warte. Dziś je z wyjątkowymi ludźmi, a one będą jeszcze bardziej wartościowe i wtedy Jutro będziesz mógł powiedzieć, że Wczoraj było piękne”.

Artystycznym akcentem uroczystości stał się koncert Chóru Żeńskiego „Primo” Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Bydgoszczy – jednego z najlepszych szkolnych chórów w Polsce (zdj. 6). Powstał w 1996 roku z inicjatywy dr hab. **Moniki Wilkiewicz**, która prowadzi go od sukcesu do sukcesu na krajowych i europejskich konkursach i przeglądach chórów. Podczas inauguracji Warsztatów chór zaprezentował repertuar współczesny w oryginalnej aranżacji. Artystkom towarzyszyła przy fortepianie Anna Merder.

Słowo i muzyka obecne podczas inauguracji XXI edycji „bydgoskiej szkoły talentów dziennikarskich” w harmonijny sposób połączyły wrażliwość i ambicje obecnym w auli bydgoskiej „jedynek” młodych ludzi i ich mentorów na drodze wznoszenia się nad poziom tego, co przeciętne. Motywując się nawzajem do zbierania chwil tego warty, będą mogli Jutro podzielić się nimi z wszystkimi, którzy zechcą z nich skorzystać.

**Redakcja**  
fot. Robert Sawicki

